



W O R Z E Ł B I A Ł Y

Polska walcząca na Wschodzie

ROK III Nr 25 (64)

NIEDZIELA 27 CZERWCA 1943 R.

CENA 20 FLS

27 CZERWCA

Jesteśmy narodem, który w swych zwyczajach posiada wiele pięknych tradycji. Tradycje te cenimy i przestrzegamy. Są one dla nas nawiązaniem do wspomnień z odległych, zawsze za lepsze uważanych czasów, są świadectwem długiego, nieprzerwanego rozwoju własnej obyczajowości.

Jedną z tych tradycji jest wyróżnianie dnia imionin osób nam bliskich, w szczególności osób stojących na czele rodziny. Imieniny ojca lub matki są świętem całej rodziny, obchodzi się je uroczysto.

portrety zdobią każdą świetlicę, czy lokal żołnierski, uosabiają dla nas żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie naród walczący o swe prawo do życia i do wielkości.

Prezydent Rzeczypospolitej, który w chwili najcięższej wziął na swe barki brzemień najwyższego urzędu

chwila ostatecznej rozprawy, ożywia Go wola doprowadzenia tej największej w dziejach narodu polskiego walki do zwycięskiego końca.

Pod rozkazami gen. Władysława Sikorskiego stoją w przededniu tej rozprawy nie tylko wojska polskie na Wschodzie i w Wielkiej Brytanii,

przed frontem oddziałów, poznać w nim tego samego człowieka, który wynieśliśmy 20-miesięcznym pobytom w celi więziennej, cierpiący od złe wyleczonych ran, z trudem chodzący o lasce przybywał w sierpniu 1941 r. do Gruzowca, czy odbierał 14 września tegoż roku defiladę żołnierzy — nędzarzy.

Ale my tak samo zmieniliśmy się. Z żołnierzy — nędzarzy, byłych więźniów, staliśmy się znów armią, która w boju o Polskę nikomu nie da się wyprowadzić.

Nie tylko żołnierz na Wschodzie



Zwyczaj ten zrodzony w życiu prywatnym przejęliśmy i przenieśli na teren życia publicznego. Obchodziliśmy w państwie całym dni imienin głowy państwa względnie osób zajmujących w narodzie szczególnie odpowiedzialne stanowisko. Chcieliśmy w ten sposób stwierdzić i podkreślić wspólnotę wszystkich obywateli, dla których państwo winno być wspólnym domem a współobywatelami rodziną.

Teraz, gdy dom leży w gruzach a rodzina rozszkana po całym świecie, święta podobne nabierają dla nas znaczenia symbolu.

Dziś w dniu św. Władysława obchodzą imieniny Prezydent Rzeczypospolitej Władysław Raczkiewicz, Wódz Naczelny i Premier gen. Władysław Sikorski i Dowódca Armii Polskiej na Wschodzie gen. Władysław Anders. Ci trzech ludzie, których

państwowego, od czterech już blisko lat, w warunkach najtrudniejszych, bo na wygnaniu, reprezentuje majestat Rzeczypospolitej. Jego osoba symbolizuje dla świata całego ciągłość i suwerenność polskiej państwowej. Wielu z nas nie zna osobiście Prezydenta Rzeczypospolitej, ale tym niemniej nie ma nikogo, koby nie chylił czoła przed najwyższym autorytetem państwowym, który On na mocy swych uprawnień konstytucyjnych reprezentuje.

Drugi z solenizantów, Wódz Naczelny, niedawno przebywał wśród nas, już po raz drugi. Poznaliśmy Go bliżej przy tej okazji i On poznał nas.

Wiemy, że jak wówczas, gdy po klęsce wrześniowej przystąpił do reorganizacji armii we Francji, jak później, gdy otwierał ją na nowo w Anglii, tak i dziś, gdy zbliża się

marynarka i lotnictwo, ale zorganizowany i zjednoczony jak nigdy w decyzji osiągnięcia wielkiego celu cały walczący Naród Polski.

Trzeci z Władysławów, gen. Anders jest rzecz zrozumiała, szczególnie bliski żołnierzowi Armii Polskiej na Wschodzie. Przeszedł z nim bowiem wszystko co dobre i złe. Uosabia jak nikt jego własne dzieje, blaski i niedole.

Na czele świetnych pułków polskiej kawalerii wyruszył do boju w 1939 r. Wielokrotnie ranny, odbył całą kampanię wrześniową. Później przebywał znany nam szlak wzięty, od lwowskich Brygidek do moskiewskiej Lubianki, z której wyszedł jako dowódca odradzających się Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR.

Trudno dziś, gdy widzi się Dowódcę Armii Polskiej na Wschodzie

wspominać będzie dziś z serdecznym uczuciem gen. Władysława Andersa ale i ludność polska, która z wojskiem z Rosji przybyła. Wiele dziesiątków tysięcy z tych, którzy choć w ciężkich warunkach ale bezpiecznie żyć i pracować obecnie mogą, nie byłiby opuścili kraju, w którym tyle przecierpeli, gdyby nie olbrzymi wkład energii i starań osobistych gen. Andersa.

Zyczenia, które składamy dzisiaj solenizantom, odnoszą się zarówno do nich jak do nas, jak i do całej Polski.

Obyśmy razem, pod ich przewodem, jak najprędzej rozpocząć mogli ostatni, zwycięski etap naszego marszu do Polski i oby następne święto Władysławów obchodzone było już w wyzwolonej Ojczyźnie.



W pomiedzy ROSJA a NIEMCAMI

Zamieszczając poniższy interesujący artykuł redakcja zaznacza, że nie w całości podziela wypowiedziane w nim poglądy.

Wojna, którą przeżywamy, poucza nas, jak łatwo nikt nie życie szeregu państw, nawet względnie silnych, gdy są skazane na samotną borykanię się z losem.

Czasem po krótkiej, tragicznej walce z obrzydnym napastnikiem, czasem tylko przy pozorach walki, a czasem już pod samym obuchem groźby zaborego sąsiada — kruszą się i łamią mniejsze organizmy państwowe.

Gdy potężni zechcieli odrzucić wszelkie więzy umowne i prawne — mniejsi i słabsi ulegli ich nakazom, lub ich przemocy. Każdy z osobną, gdy się nawet zdobył na rycerski, bezradziejny opór — dał go zbyt słaby, częściej zaś przeciwstawił tylko lament, iż znów zapanowała w świecie hasła siły przed prawem.

Oczywiście przeto krytyka stanu politycznego Europy przedwojennej, krytyka jej budowy jest coraz częstsza i coraz łajwiersza. Widząc dziś straszliwe skutki, oburzamy się nie tylko na brak decyzji i ofiarności wielu narodów tak w rozmiarach jak w powadze i w czasie przygotowań wojennych — szczydliny nie z samej tylko ślepoty spojżenia na niemiecką pracę wojenną, i nie z samej tylko wadliwej budowy politycznej poszczególnych państw — ale nadto mamy pełną świadomość, że nie wytrzymała próby budowa polityczna świata zastosowana po ostatniej wojnie.

Na dobro Wersalu zapisać musimy nadanie prawa do samodzielnego życia wielu mniejszym narodom. Zapewne, nie zostało to jeszcze dokonane w pełni — cofnięto się, niestety, przed wymuszeniem dalszego podziału Rosji na prawdziwe państwa narodowe, ale tym niemniej wersalski krok naprzód był olbrzymi. I jeżeli handlarze światowi, a w pierwszym rzędzie Żydzi, utyskują na wielość granic, na trudności obrotu towarów i walut — gdy się ludziom zachciało narodowego życia — to na pewno nie my, Polacy, będziemy ich sojusznikami w idealizowaniu kolosów państwowych „ze względu na gospodarczy”.

Ale oto, gdy zatrzęsa światem wojna i gdy przysła ostatnia złuda co do idei tzw. zbiorowego bezpieczeństwa, złuda, że Liga Narodów może spełnić rolę stróża i regulatora życia między państwami — powstała z grobu zmora, stara opiekunka zwycięskich podbojów, doktryna „wielkich sprawiedliwych imperiów”, które będą obejmowały grupy narodów — skupionych choćby przemocą — i zapewnią im łaskawie, w obrębie swej władzy, opiekę przed silniejszymi i antonomiczne życie narodowe.

Zwolennicy tej prostoty rozstrzygnięć poddają się łatwo propagandzie zwyciężskich doradców mocarstw i przyjmują inspiracje, że jest to rozwiązanie jedyne. Heż musieliśmy wysłuchać tych dobrych rad o rękomej konieczności wyboru dla Polski: albo z Rosją albo z Niemcami. Tymczasem koncepcja naturalna, przeciwna owej bierności uciekania się pod opiekunkę skrzydła jednego z sąsiadów — jest idea stałych związków między zagrożonymi przeciw napastnikom.

Staną się one wówczas zdolne do wykrzesania w swej obronie czegoś więcej, niż słowa Ligi Narodów, a nadto, o wiele bardziej są zdolne do zapewnienia swoim członkom pełni życia narodowego, niż „dobroliwi” imperialne kolosy.

Należy również wspomnieć, że ze strony Francji już na początku obecnej wojny lansowano termin „federacja”, jak się zdaje nie wkładając w to ściśle określonej treści. Akcentowano także niekiedy bardzo daleko idącą wspólnotę gospodarczą, akcentowano zawsze konieczną hegemonię Francji i Anglii. Mimo mętne przedstawienia tej budowy, znalazły się zgłoszenia gotowości przystąpienia przez niektóre ustępowe wobec Francji kraje, ale to niczego nie wyjaśniło.

Ponieważ sądzę, że grupowanie elementów b. różnorodnych, a nawet przypadkowych tylko w imię hasła obrony jest mało owocne, gdyż brak wspólnego lepszego w życiu pokojowym osłabi i zamiarowaną wspólną obronę — ponieważ sądzę nadto, że gospodarzeka każde włączenie Polski do grupy krajów o wspólnej międzynarodowej regulacji stanie się dla Polski fatalne, nie będąc się przeto nadał ową nieokreśloną federacją zajmował.

Wspomniana dla nas szkodliwość podlegania gospodarzecie regulacji międzynarodowej płynię stąd, że każda taka regulacja, czy w podziale surowców, czy kredytów, czy w podziale zadań wytwórczych musi brać za punkt wyjścia, dla ułożenia klucza rozdziału, obecny stan produkcji i możliwości i ten stan w pewnej mierze petyfikować. Otóż Polska, wobec swego opóźnienia, przy takiej repartycji uzyskiwałaby teraz miejsce na szarym końcu — wówczas gdy dynamika Polski jest porównawczo doskonała i daje wszelkie szanse, że miejsce nasze w stosunku do otoczenia ulegać będzie szybkiej zmianie na lepsze. Stąd każda stabilizacja stosunków na gruncie stanu, a nie dynamiki krzywdziłaby nas i hamowała w rozwoju.

W dalszych zatem rozważaniach biorę wyłączenie pod uwagę z jednej strony związek państw narodowych, skupionych terytorialnie, z innymi wytworzyć wspólne cele życia i zdolnych podjąć wspólną obronę — a z drugiej strony koncepcje imperialnych kolosów, zapewniających swym ludom zbrojną opiekę, jednolitą dla wszystkich organizację życia gospodarczego i zachowanie odrębności kulturalnych.

W tym zestawieniu ścierają się przede wszystkim dwa sprzeczne światopoglądy. Jeden bierny, rezygnujący, skłonny wmawiać w siebie wiarę w szlachetność sytego władcy

i szukający oparcia w jego sile; drugi — idealizujący własny wysiłek, ufnym w pracę swego narodu i jego dziejowe postannictwo, skłonny wierzyć w siłę i dobrą wolę sąsiadów, z którymi organizuje opór przeciw przemocy.

Niezależnie od sympatii dla tego czy innego sposobu myślenia i niezależnie od dających się teoretycznie wyszukać argumentów za jedną z tych form organizacji siły i wreszcie niezależnie od podawanych przykładów, jako tako znośnego życia wewnątrz znanych na świecie imperiów — dla naszej, polskiej sprawy odpowiedź przynoszą nie jakoweś ogólniki, a wyłącznie wpatrzenie się w proslą rzeczywistość istnienia w obrębie wpływów Rosji czy Niemiec.

Piękne teorie tworzone przez zarobców dla uzasadnienia swego nad innymi panowania należą do kompletnie mniej więcej stałych narzędzi pracy przy podbojach.

Odwieczna dążność Niemiec do władzy nad światem najchętniej opiera się o doktrynę kulturalnej wyższości Niemców nad innymi narodami i stąd dziejowego ich przeznaczenia do kierowania rozwojem Europy, a może i całej ludzkości. Rosja w swoim bezgranicznym „zbiernaniu ziemi”, zależnie od okoliczności, już to „wyzwala uciemiężone narody od obcego jarzma”, już to „burząc kapitalistyczny wyzysk otwiera ludom radosną przyszłość socjalistycznego ustroju” i po to włącza je w swój szczęśliwy sowiecki organizm, już to oparta o wspólnotę rasową, o słowiańskość, ustanawia wewnątrz tej rodziny prymat dla najsilniejszego — czyli swoje, rosyjskie zwierzchnictwo.

O ile w naszym społeczeństwie, doktryna wyższości Niemców nigdy nie miała poważniejszego ugruntowania i nawet teraz po ich zwycięstwie tylko najsłabszym jednostkom, oportunistycznie usposobionym, nasunęła się myśl układania życia polskiego w imperium niemieckim, o ile również ponęty rosyjskiej wolności, czy to narodowej, czy społecznej nie zdołały nigdy uwić jakiegokolwiek poważniejszej grupy polskiej, o tyle różne odcienie słowianofilstwa i wiązane z tym oparcie o potęgę Rosji nabierały nieraz cech niebezpiecznych i nawet ostatnio, wśród emigracji mają niestety swych przedstawicieli.

Zdawałoby się, że nasze własne historyczne doświadczenia dość były pouczające — i to zarówno w okresie, gdy ginęca bieżczospolita szukała oparcia o Rosję, jak i w okresie próby życia wewnątrz Rosji. Gdy pod koniec wieku XVIII Polska przyjęła garnizony opiekuńcze „Najjaśniejszej Imperatorowej”, zwalnia-

jące ówczesny naród szlachecki od ciężarów na wojsko — szybko straciliśmy państwo i przyplacili to długą niewolą.

Uduy co do wielkich organizmów państwowych i sielanke idei słowiańskiej przeżyliśmy w początku XIX wieku. Po rozbiorach i upadku powstania Kościuszkowskiego, w poczuciu bezradności własnego narodu, polska myśl polityczna szukała nadziei w oparciu o innych. Jak dziś, po naszej klęsce wrześnieowej i upadku Belgii i Francji, nie brak w Europie zrezygnowanych głosów o konieczności przeżycia okresu hegemonii niemieckiej — tak wówczas, po pokoku tyłczykim, na grzechach wielkich nadziei, a w obliczu skąpego Księstwa Warszawskiego, zbudowano teorię konieczności jednego, wielkiego organizmu państwowego, w którego ramach prawnych miałyby narody odnajdywać własne drogi rozwoju. Koniecznego zażyczenia narodów w jeden organizm — choćby przy pomocy oręża — dokona bóg wojny, Napoleon. On też nada naukowe i mądre formy życiu zbiorowemu narodów, powiązanych w szczęśliwą „federację”.

Tak oto, wiara w Napoleona znajdowała tu swój doktrynalny wyraz i była uzupełniana pozostałościami idealistycznych wierzeń w „Naukę”, wyniesionymi z wieku oświecenia. Rozwijali wówczas ten program nasi czolowi ludzie — przodował Kollątka, Staszic urabiał mu podstawy gospodarcze wprowadzając w te prace i Tow. Naukowe. Dołączali się ludzie poetyckiego pióra dopatrujący „moralnej misji” Polski w tym mieszanym zespole narodów podbitych. I chociaż się to działo tak wkrótce po naszym upadku i po jaskrawym obnażeniu bolenskich prawd naszego życia — idealizowano Polskę najbardziej nawiśnie. Gdy się okazała bezsilna, chciało ją widzieć piękna — i tak urosł mesjanizm polski.

Upadek Napoleona nie burzy tego programu, to tylko Opatrzność wybiera sobie widocznie inne narzędzie. Oto już nie bóg wojny — Napoleon, ale bóg pokoku — Aleksander dokona złączenia ludów pod swoim przewodem, oto rośnie dziejowa rola Słowian, a wśród nich jeszcze wyraźniej zarysowuje się misja Polski. Rozwojowi tych złudnych nadziei sprzyja zmeńczenie po tyłu klęskach — tak stąd było wierzyć, że oto już bez walki, a z samej natury rzeczy, z woli przeznaczenia zapanują Wolność i Sprawiedliwość.

Polska ówczesna nie zna Rosji. Dopiero przebieg lat 1813-1830, dotyk zacienianej obroży rozwijają marzenia słowianofilsko - mesjanistyczne, hierze nad nimi górę trz-żwe hasła budowy sił własnych: „Skarb i Wojsko”.

I chociaż jeszcze w czasie powstania Listopadowego usiłuje Polska oficjalnie w siebie wmawiać, że walczy z caratem, z domem Romanowych, a nie z narodem rosyjskim, bratnim nam i równie jak my wolności spragnionym, to przecież są to już tylko słowa i dalszy bieg zdarzeń leczy ostatecznie kraj ze złudzeń co do możliwości życia pod skrzydłami Rosji. Więcej nawet, bo bliższe poznanie Rosji, jej kulturalnej obcości w stosunku do wszystkich społeczeństw, wychowanych na podłożu zachodniej, rymskiej kultury, poznanie jej pierwiastków mongolskich, tak silnie akcentowane przez Mickiewicza, przesądza ostatecznie i na długo o stosunku polskiej myśli politycznej do Rosji i do jej kultury. Gdzie państwo moskiewskie — tam

SALUS REIPUBLICAE SUPREMA LEX

DOBRO RZECZYPOSPOLITEJ NAJWYŻSZYM PRAWEM

NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI NIE JEST CHIMERĄ POETÓW I NIE JEST PUNKTEM PARTYJNEGO PROGRAMU, LECZ JEST POWIETRZEM ŻYWOTWORCZYM, BEZ KTÓREGO PŁUCA POLSKIE NIE MOGĄ ODDYCHAĆ — JEST TCEM, BEZ KTÓREGO WIELKA ISTOTNIE PRACA DUCHA NIE MOŻE BYĆ DOKONANA.

Stefan Zeromski „O Niepodległość Polski”

(Dokończenie na str. 3)

przemysł wojenny w Polsce.

POZIOM
JAKOŚĆ

Produkcji



ZPH 11

Kiedy w grudniu 1911 roku nowoformujące się oddziały wojska polskiego w Rosji otrzymały nareszcie długo oczekiwane mundury angielskie i kiedy przeszła pierwsza radość po zmianie zużytych „łęgiernych” łachów na prawdziwy mundur wojskowy, rozległy się powszechne głosy „a jednak nasze polskie mundury były lepsze”. Te same głosy powtarzały się zarówno przy otrzymywaniu broni rosyjskiej, jak nawet i angielskiej.

Prócz uzasadnionej dumy narodowej było w tych słowach i dużo głębokiej słusznosci.

Prócz tego sprzętu, który wyrosł dopiero w wojnie obecnej, jak najnowsze typy samolotów, czołgów a tym samym i broni przeciwpancernej, żaden nie miał z przedmiotów uzbrojenia obu stron walczących nie przewyższył dotąd swą jakością broni, z którą Polska przystąpiła do wojny.

Mieliśmy w naszym uzbrojeniu wielkie braki ilościowe, może w związku z tym i wadliwą organizację, czy też nie dostosowaną do potrzeb dzisiejszej wojny taktykę — w czym zresztą nie byliśmy odosobnieni: nasza doktryna wojenna była bliższa wojnie nowocześniejszej niż doktryna np. francuska. Za to pod względem jakości mieliśmy niewątpliwie wyposażenie pierwszorzędną, nieomal że najlepsze na świecie.

Wynik ten zawdzięczać należy trzem czynnikom

Przede wszystkim przed wprowadzeniem jakiegoś nowego sprzętu pod-

legał on u nas niezmiernie szczegółowym próbom i badaniom, które pozwalały gruntownie poznać i usunąć jego wady. W ten sposób mieliśmy pewność, że obarczając wydatkiem na wprowadzenie tego sprzętu nasz skromny budżet wojskowy — skromny w stosunku do naszych potrzeb, lecz poważny w stosunku do niskiego naszego dochodu narodowego — dajemy wojsku broń istotnie najlepszą, przynajmniej w danej chwili odpowiadającą naszym poglądom taktycznym.

Po wtóre, nasze władze wojskowe kładły od samego początku niezmiernie silny nacisk jakością na wyprodukowanego sprzętu. Początkowo dyrektorzy i inżynierowie wytwórni przemysłu wojennego mocno krzywdzili się na te — ich zdaniem — „przesadne” wymagania wojska. Skoro jednak nasz przemysł wojenny wyszedł na rynki zagraniczne, jego kierownicy zrozumieli, że twarda szkoła, jaką przeszli, zapewniła ich wyrobom bezkonkurencyjną wręcz jakością.

Trzecim wreszcie bardzo ważkim czynnikiem był wysoki poziom personelu naszego przemysłu wojennego, a przede wszystkim jego personelu inżynierskiego. Niemcy, zarówno przed wojną jak zwłaszcza dziś, starają się rozpowszechniać bajecznie o rzekomej niezdolności technicznej Polaków. Jest to wirtuozne kłamstwo. Wprost przeciwnie, jesteśmy narodem o wyjątkowych wprost zdolnościach technicznych. Przecież tak wymagający Ford uważa robotników polskich za najwartościowszy element

w swych wytwórniach. Poziom naszych prac technicznych w 20-lecie naszej niepodległości wprowadzał w podziw bezstronnych obserwatorów zagranicznych. Niech mi też wolno będzie przytoczyć opinie o naszych inżynierach tak przecież wysoko technicznie stojącej wytwórni, jak znana na całym świecie szwedzka fabryka Boforsa. Jeden z dyrektorów tej wytwórni zwracając się raz do kierownika naszej misji, pytał ze zdumieniem: „Skąd wy bierzecie takich ludzi? Przecież każdy z waszych inżynierów umie tyle, że mógłby być profesorem!”

Skąd myślimy ich wzięli? W pierwszym rzędzie byli to inżynierowie Polacy, którzy przed pierwszą wojną światową, lub też w czasie jej trwania, pracowali w obcym, głównie rosyjskim, przemyśle wojennym. Wróciwszy do Polski wnieśli oni wiele doświadczenia i wysokiej wiedzy technicznej.

W miarę lat wypierało ich i zastępowało powoli młode pokolenie wychowanków polskich politechnik, a w pierwszym rzędzie sekcji wojskowych Politechniki Warszawskiej. Było to pokolenie młodych, zapalonych i tegich inżynierów, znakomitych konstruktorów i świetnych warsztatowców, które wzniosło polski przemysł wojenny na wyżyny, jakich dotąd nie osiągnął przemysł wojenny najpotężniejszych nawet państw przemysłowych.

Z chwilą szerokiej rozbudowy COP-u, tj. z początkiem 1939 roku mogliśmy już w kraju wyrobić całe uciążliwe techniczne zaopatrzenie, potrzebne dla wojska. Nie zdążyliśmy już wytworzyć go w dostatecznej ilości.

Jest rzeczą zrozumiałą, że społeczeństwo nasze nie mogło znać wszystkich tych spraw, gdyż były one osłonięte z konieczności tajemnicą.

Dziś jednak, gdy w ręce niemieckie wpadły nie tylko wszystkie typy naszego uzbrojenia, ale również i wszystkie nasze fabryki, nie ma już powodu, ażeby o tym nie mówić.

I tak w zakresie broni małowadliwej nasza Fabryka Karabinów w Warszawie i Fabryka Broni w Radomiu dostarczyły wojsku znakomitych typów karabinów, pistoletów (Wis — jeden z najlepszych pistoletów świata), ręcznych i ciężkich karabinów maszynowych, karabinów maszynowych lotniczych o fenomenalnej szybkostrzelności, dalej n.k.m. 20 mm w trzech rodzajach: naziemny, lotniczy i przeciwlotniczy, które nie stęły tylko w nielicznych egzemplarzach dostały się do oddziałów walczących. W wytwórniach tych wyrabiano również znakomite polskie karabiny przeciwpancerne, przewyższające swą jakością i skutecznością wszystko, co w owym czasie miała zagranica. Wreszcie w studiach były karabiny samopowtarzalne i pistolet maszynowy konstrukcji jednego z genialnych wręcz konstruktorów naszego młodego pokolenia techników.

W zakresie dział Starachowice, Stalowa Wola i inne wytwórnie COP-u, a wreszcie częściowo i Stowarzyszenie Mechaników w Pruszkowie wyrabiali działa od najcięższych do najcięższych. Znakomite działa przeciwpancerne 37 mm i przeciwlotnicze 40 mm były własnego wy-

robu. Mieliśmy nową armatę 75 mm o zwiększonej donośności, konstrukcji Starachowice; nasze 100 mm haubice były w dużym procencie już własnej produkcji, a ostatnio rozpoczęto wyrób nowych haubic 100 mm o donośności przewyższającej niemal o kilometr najnowszą 105 mm haubicę niemiecką. Mieliśmy już znaczną liczbę 75 mm dział przeciwlotniczych konstrukcji Starachowice; działa te mają wiele samolotów niemieckich na sumieniu. Wreszcie mieliśmy w daleko bardzo już posuniętych studiach działa przeciwpancerne 47 mm, znakomity typ armaty dalekonośnej o donośności ponad 25 km oraz ciężki moździerz, rozbijający zasłony betonowe grubości 2 1/2 m. Popularne w piechocie moździerze Stokesa były również polskiej produkcji.

W zakresie amunicji wyrabialiśmy wszystko u siebie w kraju. Fabryki Skarżysko, Starachowice, Pociąg, 3 wojskowe wytwórnie amunicji oraz szereg fabryk na Górnym Śląsku i w COP-ie, Norblin w Warszawie — wszystko to pracowało nad wyrobem amunicji. Mieliśmy doskonałe pociski przeciwpancerne, o jakości nie znanej gdzie indziej. Granatniki nasze zdobyły pierwsze miejsce na konkursach w Finlandii, Grecji, Włoszech i Portugalii. Zapalniki do granatów ręcznych były używane według polskich patentów w kilkunastu krajach, między innymi w tak niechętnie przyznającej obcą myśl techniczną Francji. Konstruktor tych zapalników należał niestety do grupy oficerów zaginionych w Rosji. Polskie bomby lotnicze, od najmniejszych do największych, miały chlubną reputację we wszystkich krajach bałkańskich.

Polskie prochy (Pionki, Boryszew i nowe wytwórnie w COP-ie) stały na najwyższym poziomie w całym świecie i opanowały powoli rynek po rynku. Zbudowana ostatnio fabryka celulozy w Niedomicach pozwoliła nam oprzeć produkcję prochów na surowcu krajowym.

Nieco gorzej staliśmy w zakresie wyrobu czołgów, w związku zresztą z ogólnie słabym stanem naszej motoryzacji. Mieliśmy jednak dobry typ tankietki tzw. TK oraz dobry zupełnie typ lekkiego czołgu.

Nasze lotnictwo było nieliczne, ale polska myśl konstrukcyjna była rekordy światowe. Znakomity Łoś, który oślnił świat na wystawie lotniczej w Paryżu, do dziś może być zaliczony do najlepszych średnich bombowców świata. Mieliśmy Karasie, również doskonale i wysocę wówczas nowoczesne. Poza tymi dwojma, które brały udział w wojnie 1939 r. były bardzo obiecujące prototypy, jak Sum, Mewa i P. Z. L. 37. Wytwórnie nasze, jak Biała Podlaska, jak P. Z. L. w Warszawie jak i nowe fabryki w COP-ie stwarzały doskonałe możliwości dla szybkiego rozszerzenia produkcji.

Wszystko to uzyskaliśmy — jak już podkreśliłem w poprzednim artykule — bez pomocy obcej, bez najważniejszych pożyczek zagranicznych, z własnego gospodarstwa narodowego, wyczerpanego 130 latami niewoli i 7-letnią wojną.

Zapewne, Niemcy przewyższyli nas znacznie. Ale czerpali oni swe źródła z bogatego kraju, zasilonego jeszcze wielu miliardami dolarów pożyczek amerykańskich, których zresztą nigdy nie zwrocili.

Stan naszego przemysłu wojennego w 1939 roku był taki, że stwarzał jak najlepsze perspektywy na przyszłość i to przyszłość niedaleką. Nie dziś, że Hitler nie zwlekał z napadem.

Dr Tadeusz Felsztyn

POMIĘDZY ROSJĄ A NIEMCAMI

(Dokończenie ze str. 2)

dom niewoli i kaźni podbitych narodów; gdzie obyczaj i moralność moskiewska — tam zgubione poczucie indywidualnej swobody i ginie w zakłamaniu jednostkowa odpowiedzialność.

Rosja nie może być ani towarzyszem dotli i niedoli dla narodu o kulturze zachodniej, ani tym mniej równikiem zbiorowości słowiańskiej: wprost przeciwnie — musi być wyłączona z duchowej wspólnoty narodów słowiańskich, gdyż one wszystkie, łącznie z Ukrainą, okrzepły kulturalnie na podstawach zaczerpniętych z Europy zachodniej, a Rosja moskiewska krzepła przesycając wpływami mongolskimi.

Ta świadomość została w narodzie polskim okupiona dziesiątkami lat doświadczeń i cierpień, została „sprawdzona” w sposób najgruntowniejszy i wrosła w podstawy naszej politycznej myśli. Od połowy XIX wieku już nie próbuje nikt — na poziomie prawdziwej polityki — budować doktryny współdziałania z Rosją. Od Mickiewicza do Piłsudskiego żaden z naszych wielkich duchów nie podjął także próby wiązania łączności ideologicznych, zapolitycznych. Czyniły to tylko małe lub zbłąkane duchy, oderwane już od istotnego nurtu narodowej myśli, tak jak Wielopolski. I nie ma to dla rozwoju naszej ideologii politycznej większego znaczenia, że na poziomie doraźnej, oportunistycznej polityki dokonywano raz poraz żałosnych kroków ugodowych.

Ani łamanie strajku szkolnego

w Królestwie, ani wileński obszarnicy pod pomnikiem Katarzyny, ani wiersz poddańcze deklaracje z poprzedniej wojny — jakkolwiek były gorzkimi epizodami — nie mogą uchodzić za dowód rusofilskiej polityki narodu. To tylko okaleczały w niewoli cielsko narodu, wlokąc się z trudem po swej smutnej drodze, nurzało się niekiedy w błocie gościnia.

Istotną pokusę rusofilstwa przemyśleliśmy i przewyciężyliśmy już przed wiekiem. Później pogłęбилиśmy jeszcze świadomość odrębnych podstaw duchowych kultury — i dziś, gdy bolszewicki eksperyment odepchnął od nas jeszcze dalej ten mongolski świat, każde wznawianie koncepcji słowiańskich wydaje się szaleństwem, a każda rachuba na rozwój autonomii narodowej wewnątrz kołosa rosyjskiego — prostą i haniebną rezygnacją z istnienia narodowego. Obłudne frazesy antygermańskie nie zdolają tej prawdy zakryć.

A zatem ani wewnątrz „przeziębieni życiowej” niemieckiej — świadomi ich krzyżackich obyczajów, ani w jakimkolwiek współzyciu z Rosją — świadomi jej mongolskiej treści, nie możemy szukać bezpieczeństwa i dopatrywać szansy rozwoju. Byłoby to ryzyko istnienia — pozorny spokój niósłby śmierć.

Na innej drodze, drodze wysiłku i poświęcenia, drodze współdziałania z sąsiednimi wolnymi narodami, możemy osiągnąć trwałe warunki siły do obrony i rozwoju życia.

Zaw.

(Dalszy ciąg nastąpi)

N A S T A R E J Ś C I E Ż C E

Szliśmy dwoma różnymi ścieżkami. My Polacy i oni Czesi, czy też, jak się sami nazywali — Czechosłowacy.

U zarania niepodległości, naszej i ich, rozdzielił nas spór o międzygraniczną — Cieszyn. Rozstrzygnięto go początkowo na swoją korzyść oni, siłą i podstępem zabierając ziemię należącą do Polski. To jest prawda historyczna i fakt, który można zapamiętać i nawet wybaczyć, ale którego fałszować ani negować nie wolno. Fakt ten zaciążył na całym dwudziestolecu naszych stosunków i był jedną z zasadniczych przyczyn stanowiska, jakie zajęliśmy w odniesieniu do Czechosłowacji w okresie Monachium.

Nie byliśmy ściśli twierdząc, że Cieszyn był jedynym ziarnem niezgody między nami a jakże nam bliskim krwią i kulturą narodem Czechów (Słowacy w tym bratnim związku dwu narodów czeskiego i słowackiego, do października 1938 roku mieli niewiele do powiedzenia).

My Polacy byliśmy zawsze, jak i jesteśmy w dalszym ciągu zdania, że narody Europy środkowo-wschodniej mają zupełnie wystarczające warunki, zarówno jeżeli chodzi o liczbę ludności, jej poziom kulturowy, jak i zasoby gospodarcze, by stworzyć silną organizację polityczną, która mogła narodom wchodzącym w jej skład zapewnić możliwości samodzielnego i bezpiecznego bytu. Czechosłowacja inaczej. Zagrożeń przez Niemców, obawiający się Węgrów, Czesi nie wierzyli w możliwości zabezpieczenia swej niezależności siłami własnymi, wspólnie z sąsiadującymi z nimi narodami, w szczególności z Polską.

Z czasów niewoli przejęli dziedzinę polityczną, którego myślą przewodnią było szukanie oparcia na Wschodzie. Panslawizm, chcący sprowadzić do wspólnego mianownika jednolitości szczerpewej ludy różne kultury, tradycje, religie i obyczaje, myślowo wydał się im silniejszym zabezpieczeniem, aniżeli związek z narodami wywodzącymi się z tego sądami, co i oni Czesi, pnia cywilizacji romańskiej.

Znajdując się w odmiennym niż my położeniu geograficznym, nie mając za sobą tak tragicznie bolesnych doświadczeń, nie rozumieli Czesi naszej nieufności i ostrożności w stosunku do wschodniego sąsiada. Rząd postawa, jaką przyjęli w 1920 roku, stał negatywnie przez długie lata stanowisko, jakie zajmowali wobec idei zblżenia i sojuszu między Polską a Czechosłowacją.

Lata 1938 i 1939 wykazały jak zgubne dla nich i dla nas były rozdziewicze dzielące oba państwa i jak zawodne rachuby na pomoc ze Wschodu.

Pozostawiona własnemu losowi Czechosłowacja kapitulowała bez boju, oddając cały swój nienaruszony potencjał wojenny i gospodarczy nieprzyjacielowi, a Polska choć podjęła walkę, osamotniona i zewsząd otoczona, również ulec niebawem musiała.

Jest objawem mądrości politycznej narodów, jeżeli z doświadczeń przeszłości umieją wysnuwać należyte wnioski i potrafią je wcielić w czyn.

Porozumienie polsko-czechosłowackie podpisane w dniu 11 listopada 1940 roku, ustalające zasadę utworzenia konfederacji, która by przysięgła jednoczyła w ścisłym związku politycznym oba państwa, było aktem który zdawał się świadczyć, że bolesna nauka z lat 1938 i 1939 nie poszła w las.

Porozumienie to podpisywał legalny i powszechnie uznany rząd polski z narodowym komitetem czechosłowackim utworzonym w Londynie. Na czele tego komitetu, względnie jak się sam tytułował — prowizorycznego rządu, stał były prezydent Republiki Czechosłowackiej p. Benes, który po Monachium zrzekł się swego urzędu.

Aktem tym rząd polski uznawał komitet czechosłowacki za równe sobie przedstawicielstwo narodowe i wprowadzał go w grono pełnoprawnych partnerów polityki międzynarodowej. Dało to w konsekwencji p. Benesowi podstawy do „in integrum restitutio” na terenie państw alianckich jego praw prezydenta Republiki i pozwoliło mu na utworzenie rządu czechosłowackiego w Londynie. Działo się to pomimo, że legalnie wybrany po abdykacji p. Benesa prezydent Czechosłowacji p. Hacha urzęduje dotychczas na Hradczynie jako niemiecki lennik...

W rozwinięciu zawartego 11 listopada 1940 roku porozumienia, rządy polski i czechosłowacki podpisywali dnia 23 stycznia 1942 roku układ precyzujący niektóre z zasadniczych warunków, na jakich ma się opierać przyszła konfederacja. Od tego czasu toczyły się rozmowy odnośnie dalszej rozbudowy już osiągniętego porozumienia.

Okończoność, że rokowania prowadziły z polskiej strony rząd jedyny i przez cały naród uznany jako legalny, a ze strony czechosłowackiej rząd legitymowany się jedynie uznaniem ze strony sprzymierzonych i nie mogący nawet pretendować do jednoślośnego poparcia przez narody, które reprezentuje — stwarzał dla nas niezbyt wygodną sytuację polityczną. Pertraktowanie z niedostatecznie upoważnionym partnerem stanowi bądź co bądź pewne ryzyko.

Pomimo to, nie wahaliśmy się wszcząć rokowań w przekonaniu, że zblżenie polsko-czechosłowackie musi być podstawą nowej organizacji Europy środkowo-wschodniej i że będzie ono najpewniejszym zabezpieczeniem niepodległości obu narodów. Czas bowiem i wydarzenia najbardziej potwierdziły słuszność stów pierwszego prezydenta Czechosłowacji Tomasza Masaryka: „Konieczność porozumienia się i wspólnota interesów Polski i Czechosłowacji wynikają z samego faktu istnienia pangermanizmu. Bez wolnej Polski Czechy i Słowacja nie mogą być wolne; bez wolnych Czech i Słowacji nie ma wolnej Polski”.

Tymczasem rząd czechosłowacki, w miarę jak jego pozycja wśród aliantów, w niemałym stopniu dzięki współpracy z Polską, stawała się silniejsza, okazywał dla idei konfederacji coraz to większą rezerwę. A z chwilą, gdy Rosja Sowiecka, zmuszona agresją niemiecką, stała w szeregu państw sprzymierzonych, wieloletnia przedwojenna sympatia prezydenta Benesa i jego zwolenników politycznych sprawiła, że punkt ciężkości polityki rządu czechosłowackiego znów przesunął się na Wschód.

Pogorszenie się stosunków polsko-sowieckich odbiło się natychmiast niekorzystnie na prowadzonych bez przerwy pracach w sprawie realizacji konfederacji, zaś zerwanie stosunków dyplomatycznych przez Rosję z Polską w następstwie sprawy Kątynia, spowodowało ze strony rządu czechosłowackiego kroki świadczące, że wytyczną jego polityki nie jest idea zblżenia z Polską celem sta-

wienia zola wspólnemu, w dalszym ciągu jakże aktualnemu niebezpieczeństwu, lecz zależności od Rosji Sowieckiej.

Mianowicie naczelne czynniki czechosłowackie to jest prezydent Benes, a następnie minister Ripka oraz Czechosłowacka Rada Państwa podały każdy z osobna do powszechnej wiadomości, że rokowania prowadzone z Polską w sprawie utworzenia konfederacji zostały zawieszono na czas trwania sporu polsko-sowieckiego. Prezydent Benes w oświadczeniu złożonym w Ameryce w czasie jego ostatniej podróży dodał bez ogródek, że konfederacja będzie mogła jedynie wówczas dojść do skutku, jeżeli oba państwa utrzymywać będą jednakowo przyjaźne stosunki z ZSRR.

Podkreślił też, że obok tej głównej przyczyny zerwania rokowań polsko-czechosłowackich są jeszcze inne, jak Cieszyn i stosunki polsko-węgierskie.

Jeszcze dalej idzie uchwała Czechosłowackiej Rady Państwowej. To dostojnie zgromadzenie pozwala sobie ni mniej i ni więcej jak na wyrażenie żalu z tego powodu, jakoby rząd polski swym postępowaniem w sprawie pomordowanych oficerów polskich zmusił rząd sowiecki do zerwania stosunków dyplomatycznych z rządem polskim.

Poza tym Czechosłowacka Rada Państwowa powraca jeszcze do sprawy Cieszyna oraz wyraża niezadowolnienie z tego powodu, że Polska dotychczas nie wypowiedziała wojny Węgrom, z którymi Czechosłowacja „znajduje się na stopie wojennej”. Moglibyśmy sobie pożartować nieco na temat tej „stopie wojennej”, która objawia się chyba w tym, że dywizje słowackie, walcząc po stronie Niemców wspólnie z węgierskimi brały w skórę pod Stalingradem od bolszewików. Nie czas jednak na żarty, musimy zatrzymać uwagę raczej na zarzucie, który nam się stawia, a który w tych okolicznościach uznać należy za paradoks.

Więc zdaniem szanownej Rady czechosłowackiej nie jest w porządku, że Polska nie wypowiedziała wojny Węgrom, co oczywiście żadnej korzyści sprzymierzonym przynieść by nie mogło, a miałyby tylko jeden skutek, że tysiące Polaków na Węgrzech, z którymi Węgrzy obchodzą się dobrze, po rykersku i z pełną zyczliwością, musiałoby się tam znaleźć na statucie obywateli państwa wrogięgo. Ale zdaniem czechosłowackiej Rady jest w porządku, jeżeli Rosja pozostaje w stosunkach pokojowych z Japonią, z którą walczy sprzymierzeńcy Rosji m. in. Czechosłowacja. Nie jest w porządku, jeżeli my zachowujemy neutralność w sprawie czesko-węgierskiej i nie angażujemy się po stronie Czechosłowacji, ale jest w porządku, gdy w sporze naszym z Rosją rząd czechosłowacki nie tylko, że nas nie popiera, ale nawet nie zachowuje neutralności, występując wprost przeciw Polsce.

Czeski rząd i Rada Państwa stoją na stanowisku integralności terytoriów posiadanych przed Monachium wraz z ziemią cieszyńską. Nie tu miejsce na polemikę w tej sprawie, dla nas nie budzącej wątpliwości. Zarazem jednak dziwić się wypada, że politycy tak jaskrawo broniący zasady integralności, gdy chodzi o drobny skrawek terytorium, gotowi są pochwałać zamiary oderwania od Polski połowy jej obszaru państwowego.

My zasadę integralności stawiamy niedwuznacznie i wykazaliśmy zarówno w 1919 jak i w 1939 r., że gotowi jesteśmy za nią walczyć bez względu na stosunek sił i na wielkość ofiar. Walczy o nią nadal cały naród, a pomiesione na jej rzecz ofiary są olbrzymie. Czechosłowacja wołała tych ofiar nie ponieść, a dziś prez. Benes próbuje udowodnić, jakoby jego kapitulacja była większym bohaterstwem niż byłby nim opór zbrojny. Paradoks ten nie zmienił przecież rzeczywistości.

W ten sposób sprawa konfederacji polsko-czechosłowackiej została na razie przesądzona — nie przez nas — negatywnie. Rząd czechosłowacki wycofuje się ze swych zobowiązań, jeszcze zanim one mogły wejść w życie. Czyny to bez uzasadnienia usprawiedliwiającego zerwanie (bo praktycznie biorąc jest to zerwanie a nie zawieszenie).

Konfederację taką warto zawieść, jedynie wtedy jeśli ma ona być związkiem trwałym. Opierać się musi bądź na wspólnych dążeniach, bądź też podstawą jej musi być obrona przed wspólnym niebezpieczeństwem. Związek państw, w którym jeden z kontrahentów w chwili, gdy drugi znajduje się w trudnej sytuacji, nie tylko go nie popiera, lecz z miejsca zajmuje stanowisko przeciw niemu, nie ma szans trwałości.

Rząd czechosłowacki schodzi znów na starą ścieżkę. Nie zamierza kryć z nami po drodze, której celem jest wspólne osiągnięcie niepodległości i bezpieczeństwa.

Nie wiemy, w jakim stopniu narody czeski i słowacki aprobują ten nowy etap gry p. Benesa.

Jeden z najwybitniejszych polityków czechosłowackich, b. długoletni poseł Czechosłowacji w Parłżu p. Stefan Osusky w artykule „Poland and Czechoslovakia” opublikowanym w londyńskich „Wiadomościach Polskich” pisze:

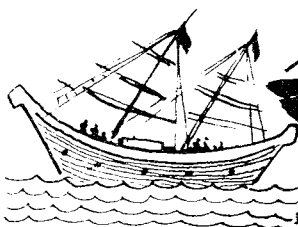
„Naród żąda polityki konstruktywnej, a pierwszym warunkiem tej polityki jest ustalenie warunków dobrego sąsiedztwa między Polską i Czechosłowacją. Ani polityka polski ani Czechosłowacji nie była korzystna przed wojną w tej dziedzinie. Jednakowoż po wojnie, żaden z polityków tej szkoły nie będzie mógł pozostać u władzy. Będzie miał przeciwko sobie całą myśłą opinię publiczną, bez względu na to czyja protekcja będzie za nim stała”.

Bacnie będziemy obserwowali dalszy rozwój polityki czeskiej. Opportunizm czasem popłaca. Ale niech nam później bracia - Słowianie nie mają za złe, że z ich zachowania się wobec naszych żywotnych interesów będziemy musieli wyciągać wnioski. Rachuby na naszą krótką pamięć — zawiodą.

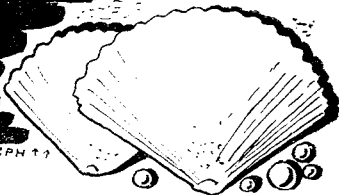
Zbigniew Racieński

Rejestracja artystów i muzyków

Wydział Propagandy i Oświaty Armii Polskiej na Wschodzie prosi wszystkich artystów teatralnych i muzyków, zarówno będących w wojsku, jak urlopowanych, oraz osoby cywilne tych zawodów o podanie swych adresów i kwalifikacji fachowych do administracji „Orla Białego” Paiforce 58.



poławiacze



Która z naszych pra-pra-babek, babek, matek, żon czy córek! nie marzyła i nie marzy o naszyjniku, „koli” z prawdziwych pereł zadowalniając się „tymczasem” lepszą czy gorszą imitacją japońską lub paryską? Wprawdzie moda na perełki dziś już nie jest tak popularna jak dawniej, wprawdzie wyparł ją z pierwszego miejsca klejnotów brylant — jednak która z pięknych pań pogardzi perłą?

A klejnot to stary — jak historia niemal, a z nim związana jest nie-rozeralnie, w oparach gorącej po-żarzonej, Isniąca i gładka tafla wód, jakże niedalekich od nas, przez które tyłu z nas już jechało — Zatoki Perskiej.

Najlepsze, najpiękniejsze perełki w niej się rodzą. Perełki, które tworzyły sławny naszyjnik Kleopatry i które rozpuszczała ona w winie — z jej wód się wywodzą. Większość przepięknych pereł zdołających przed wojną wy-stawy jubilerów najwytorniejszych stolic świata — to były perełki z Za-utki Perskiej.

Perełki, tak jak tysiąc lat temu, tak i po dziś dzień są łowione przez spalonych słońcem mieszkańców arabskiego wybrzeża Zatoki Perskiej, potomków słynnych piratów czy han-dlarzy niewolnikami. Tak jak wów-czas tak i teraz, gdy tylko nastanie sezon połowu, wyruszają na wody Kuweitu czy Bahrainu flotylli stat-ków przypominających kształtem czasy Sindhada Żeglarza...

Na perełki ludzie robią fortuny. Nie tylko ci zła odkrytej aksamitem lady sklepu jubilerskiego, ale i ci, co własnoręcznie małże perłowe otwierają. Rzadko, ale robią.

I tak, gdy w Ameryce Rockefeller sprzedawał jeszcze gazety na rogu ulicy, Hilal al Mutari, młody Beduin z Kuweitu, uczył się nurkować, by mając lat 15 zaciągnąć się na statek poławiaczy pereł. W owym czasie świat przeżywał okres wielkiego po-pytu na perełki i kapitanowie statków starali się zdobyć młody narybek poławiaczy ofiarowując im zawrotne sumy, do 1000 rupii (obecnie tylko 25!) zadatku. Gdy jednak inni za-liczki te wydawali na zabawy, Hilal zawiązał swoje w starą koszulę i zakopał pod szalosem, żyjąc z ni-kich dochodów jedynej posiadanej przez siebie palmy daktylowej

W trzy lata później był już kapi-tanem małego statku, w dziesięć lat — dawał zadatki tuzinowi kapi-tanów od siebie zależnych... Stał się największym handlarzem pereł w Zatoce Perskiej z własnymi domami handlowymi w Kuweicie, Bahrainie i Bombaju.

Me i on nie przetrwałby zapewne kryzysu perłowego jaki po zeszej wojnie zapanował na świecie, gdyby go nie był przewidywał — mimo że pisać i czytać nie umiał i nigdy nie słyszał o ekonomii. Kryzys wyczuł instynktem Beduina, ostrzegającym go przed zbliżaniem się burzy. W czas wycofał kapitał z handlu perłami i włożył go w plantacje palm daktylowych. W wieku lat 80-90 (sam nie wie na pewno, ile

ich ma: żył jeszcze w Kuweicie tuż przed wybuchem wojny, a fortunę jego obliczono na milion funtów szterlingów.

Oczywiście, to wyjątek. Ale zda-rzało się również, że ubogi poławiacz wydobywał perłę o bajońskiej war-tości...

Perełki, fortuna, sklepy jubilerskie i radość pięknych pań — to wszystko jedna strona medalu. Błyszcząca, radosna. Druga przedstawia nędzę i skrajny wyzisk.

Zasadniczo poławiaczowi perełki nie się nie płaci. Bierze on tylko udział w podziale zysków. Arabia bowiem, nie znająca przesądów klasowych,



...A one trwają uparte, Skrywając serc czerwieni i biel: Alter Markt i Seegarten, Danziger Platz i Neue Welt. W hartowną zawarł się maseł Stolicy zakłęty hufiec — Dreikreuzplatz i Marschallstrasse, I Gotenhafener Ufer. Nocami nie trwożą wcale Rozpacznym, rozdartym krzykiem



Domhof i An der Markthalle, Parkstrasse i Neue Bruckke. W ruinie świątyni i gmachów Sprzęgły się twarde jak skała Poststrasse i Neue Anfahr! i Schlossplatz na Zamku zwalące. W cieniu rozwalin, północą Na Siegestrasse wśród Alej Przyjmuje raport walczących Przed Belwederem Marszałek. ...A później ktoś ciłym krokiem Przemierza ciemne ulice, Zehy na Adolf Hitler Platz Falszywą zerwać tablicę...

Artur Międzyrzecki

gwarantująca jednakową wolność dla wszystkich (prócz niewolników oczy-wiscie), nie czyni zasadniczych róż-nic między pracodawcą a pracowni-kiem. Tak więc po dziś dzień kapi-tan statku, nurkowie i spuszczaczy ich do wody ludzie tworzą jak gdy-by spółkę dzielącą się między sobą zyskami i stratami. Stąd wynika, że poławiaczom nie potrzeba rozkazy-wać, gdyż każdy z nich daje z sie-bie, co może. Zyski są kalkulowane w skali przekazanej nam od wieków i gdy np. na statku pracuje 50 nur-ków i 50 wyciągaczy i jeżeli wydo-będą oni w sezonie pereł wartości 15000 rupii, wówczas kapitan, jako właściciel statku, bierze 3000 rupii, każdy nurek po 140 a wyciągacz po 100 rupii. Teoretycznie więc spółka taka wygląda na idealne rozwiązanie jednego z najboleśniejszych proble-mów gnębiących dzisiejszy świat. W rzeczywistości jednak stanowi grunt do najbardziej skandalicznego wyzysku.

Podczas lata, gdy nurkowie są bezrobotni, muszą zapewnić utrzy-manie sobie i swojej rodzinie. Kapi-tan statku udziela im wówczas za-liczek na konto udziału w przyszłych zyskach, ściągając oczywiście pro-cent wahaający się od 50-60% rocz-niel. By spłacić raz zaciągnięty dług, nurek musi latami pracować na swo-jego wierzyciela, a żeby żyć, musi co roku prosić o nowe zaliczki. W ten sposób dług rośnie osiągając zawrotne sumy. Kapitan statku ni-gdy zaliczki nie odzwania. Daje na-wet więcej, niż nurek potrzebuje zapewnijając sobie w ten sposób nie zwrot pieniędzy, lecz pewność iż nu-rek będzie stale już u niego pracow-ał, przy czym w razie śmierci dłuż-nika nie nie traci, gdyż miejsce ojca zajmuje syn. Znany np. jest wypadek, gdy jeden z nurków w-nien był „nachadłowi” (kapitanowi statku) 4000 rupii, który to dług odziedziczył po swoim ojcu, który z kolei odziedziczył go znowu po swoim ojcu, który... Wzdłuż arabskiego wy-brzeża Zatoki Perskiej żyją rodziny, które od całych pokoleń związane są z tą samą rodziną kapitanów, pra-cując na spłatę długu, zaciągniętego przez przodków, których wcale nie znali. Tworzą oni zakładowy kapitał kapitana statku. W razie bankruc-twa tego ostatniego kapitał ten prze-chodzi na własność wierzycieli wraz z domem i statkiem. Z drugiej jednak strony nurek może być pewien, iż nie zabraknie mu nigdy na utrzy-manie i życie, gdyż kapitan nie może go zwolnić, w interesie jego bowiem leży, by nurek był ciągle tylko u niego na służbie i zostawił mu w

spadku swoich synów. To też po-życzka i pożyczka na wieczne nieod-danie...

Poławiacz pereł ma pewną satys-fakcję wiedząc, że kapitan jego nie wiele lepiej się ma od niego, siedzi bowiem po uszy w długach u han-dlarzy pereł, którzy podobnie jak on poławiaczy — wyciskują jego samego.

W takich warunkach pracuje na wodach Zatoki Perskiej kilkadzie-siąt tysięcy nurków, przy czym sam Bahrajin, centrum połowów pereł, z grudnia przeszło 500 statków z 15.000 poławiaczy!

Na sto wylowionych małż perłow-ych, przeciętnie tylko w jednej znajduje się perła, a bardzo często całodzienny połów nic nie przynosi. Poławiacz jednak żyje stale nadzieją, iż w końcu przyjdzie dzień, w którym wyluska z małży bezcenną perłę. Nie pamięta, iż jego ojcowie i dźia-dowie, również nurkowie, te same nadzieje żywili, a mimo to martwi w nędzy.

Małże perłowe, zgodnie z prastarą tradycją, otwiera się tylko o wscho-dzie słońca, wytrawne jednak oko poławiacza z góry już zdolne jest określić, czy dana muszla zawiera perłę czy też nie. Na tym tle rozwi-ął się na całym wybrzeżu Zatoki Perskiej swojego rodzaju hazard.

Mianowicie nie otwarte muszle do-starczane są na bazyry miasteczek, gdzie można nabyć sztukę za 1 rupię, a znaleźć w niej (co się oczywiście nadzwyczaj rzadko zdarza) perłę wartości przynajmniej kilkudziesię-ciu rupii.

Dzień pracy rozpoczyna nurek po-ranną modlitwą do Allacha, w której prosi go o ochronę przed rekiami i innymi potworami morskimi, od których roi się w Zatoce Perskiej (najgroźniejsza jest ryba miecz). Pracuje nurek 16 godzin na dobę, zanurzając się przeciętnie 150 razy.

Poza ekipą nurków na pokładzie statków znajduje się równa liczebnie ekipa „wyciągaczy”, z których naj-starszy jest przodownikiem. Zada-niem jego jest odbieranie od nurka worka z małżami oraz liczenie ile razy nurek zanurzył się

Jak już powiedziałem, ceny pereł bardzo zmałyły po zeszej wojnie, tym bardziej spaść więc musiały dzisiaj, gdy nafta jest bożyszczem narodów. Arab więc z nad Zatoki Perskiej, którego pra-pradziad z XVII wieku trudnił się piractwem psując krew kupcom brytyjskim nawiązu-jącym łączność z Indiami, którego przadziad z XVIII wieku zajmował się intratnym handlem niewolnikami, którego dziad i ojciec wreszcie lo-wili perełki dla pięknych pań z epoki wiktoriańskiej, sam dzisiaj oddał się jeszcze innemu zawodowi: na wyspach Bahrainu, czy pod Kuwei-tem wydobywa naftę.

Aleksander Grobicki

**PAMIĘTAJ
— O —
DZIECIACH
POLSKICH
W Z.S.R.R.**

JESZCZE O KRYTYCE PRZESZŁOŚCI

Po ogłoszeniu w nr 21. „Orla” artykułu p. t. „Bez cudów” otrzymałem następujący list, który podaję w dosłownym brzmieniu:

Drogi kolego Ciołek!

Przeczytałem Twoje uwagi o systemie gospodarczym Schachta oraz dowodzenie, że Polska nie mogła osiągnąć tak wysokiego potencjału gospodarczego, jaki zdobyła III Rzesza.

To ostatnie uważam za „otwieranie otwartych drzwi”, co do tego bowiem nie było żadnych wątpliwości nie tylko między nami „włajemniczymi”, ale nawet wśród laików.

Ale co innego zastanawia mnie w Twoich uwagach — między wierszami wyczuwam tam chęć obrony polityki gospodarczej Polski przedwrześniowej — taki rodzaj „bronzownictwa ekonomicznego”. Ponieważ zaś bronzownictwo jest jedną z zasadniczych cech charakteru polskiego, i to nader ujemną, chciałbym trochę na ten temat z Tobą powiedzieć.

Podobnie jak przekonanie, że przy najlepszej polityce zagranicznej nie daloby się nam uniknąć doznanej klęski, nie zwalnia od obowiązku surowej krytyki tej polityki, również nawet pewność, że przy najlepszej polityce ekonomicznej nie zdobylibyśmy dać naszej armii dostatecznej ilości nowoczesnego sprzętu bojowego, nie zwalnia nas od obowiązku przeprowadzenia dokładnej analizy tej niedawnej przeszłości, a to w imię znalezienia właściwej drogi w przyszłości.

Trzeba tu przede wszystkim zatrzymać się nad teorią „zaciskania pasa”, jaka niepodzielnie panowała w polskiej polityce gospodarczej w latach 1932-36. Ta polityka w imię „obrony waluty” i „prywatnych oszczędności obywateli” skierowała gospodarstwo polskie na tory nie tylko rezygnacji ze wszelkiej rozbudowy aparatu wytwórczego i podniesienia poziomu technicznego, lecz przeciwnie — nakazywała obniżenie tego poziomu do epoki króla Piasta. A działa się to właśnie wówczas, kiedy Hitler doszedł do władzy i całe Niemcy zmieniły się w jedną wielką fabrykę kującej broń.

Nawet nasza osławiona polityka „planów inwestycyjnych” lat 1936-39 wyglądała z dzisiejszej perspektywy jak zabawka grzecznych dzieci. Dopiero dziś rozumiemy, że polityka gospodarcza nie jest celem samym w sobie, lecz tylko funkcją zasadniczych konieczności państwa i narodu. Kiedy Hitler opracował swój plan zbrojeń, który uznał za najwyższą konieczność dla Rzeszy i dla narodu niemieckiego, wezwał wówczas Schachta, któremu polecił znaleźć sposób finansowania tych zbrojeń, zarówno wewnątrz Niemiec, jak i w obrębie zagranicy.

Natomiast polska polityka gospodarcza w owym czasie zrezygnowała ze zwiększenia potencjału obronnego państwa, bo na to „nie było pieniędzy”, bo bano się inflacji, bo „stałość waluty” uznano za najwyższe dobro Rzeczypospolitej.

Zagadnienia prowadzenia dobrej polityki gospodarczej nie można sprowadzić do ściśle materialnego problemu ilości środków — to tylko moment wtórny. Momentem zasadniczym jest kwestia istnienia świadomej i silnej woli realizacji tego, co uznane zostało za konieczne.

Zadaniem mężów stanu, kierujących losami państwa i narodu jest

wytyczenie celów ogólnych, zadaniem ekonomistów jest dostarczenie środków materialnych dla ich realizacji. Może być, że jest to pewnego rodzaju magia, ale ekonomia polityczna nie jest nauką ścisłą, a złośliwi twierdzą, że nie jest nauką w ogóle. Jest ona, podobnie jak „czysta polityka”, przede wszystkim sztuką, na której piętno indywidualne twórcy — wywiera wpływ decydujący. W przyszłości, po odzyskaniu Niepodległości, stanie przed nami konieczność rozbudowy gospodarczego potencjału państwa i to w warunkach znacznie trudniejszych niż te, jakie istniały przed wojną.

Czy wobec tego znajdzie się chociażby jeden człowiek, któryby radził nam zaniechać lub odroczyć tę rozbudowę? Czyż nie wszyscy rozumieją, że tylko natychmiastowe rozpoczęcie i szybkie wykonanie przebudowy struktury gospodarczej Polski, że tylko osiągnięcie przez Polskę nowoczesnego poziomu wyposażenia technicznego, pozwoli uniknąć jeszcze jednego powtórzenia się tragedii polskiej?

Taki program musi być zrealizowany, chociażby miał kosztować 99 pct dochodu społecznego, chociażby cały naród trzeba było zmieścić w pracujących po 16 godzin na dobę robotów.

Bo Polacy nauczeni doświadczeniem wolą pracować ponad siły dla Polski nad Wisłą, niż w obecnej niewoli pracować nad Renem czy nad Pieczorą.

Twój kolega

N. Nieświński

Podzielać chęć rozmowy o przedwrześniowej polityce gospodarczej, jak i opinie, że krytyka przeszłości jest przydatna dla budowania przyszłości. Rozmowę nieco utrudnia okoliczność, że Autor listu uważa mnie za „włajemniczonego”, a ja wcale nie jestem włajemniczozy w przytoczonym przez niego fakcie, a co gorsza wręcz wątpię w ścisłość np. faktu uznania stałości waluty za najwyższe dobro Rzeczypospolitej. Również wątpię w ścisłość informacji, jakoby którykolwiek z polskich polityków gospodarczych w imię „obrony waluty” i „prywatnych oszczędności” nakazywał obniżenie poziomu technicznego kraju, a choćby rezygnował z rozbudowy aparatu wytwórczego. Rewelacja wręcz jest dla mnie zdanie, iż „Dopiero dziś rozumiemy, że polityka gospodarcza nie jest celem samym w sobie...”. Dołączyć nie spotkałem okazu ekonomisty, któryby uważał politykę gospodarczą za cel sam w sobie. Pamiętam zato, jak czołowy publicysta zwalczanej przez p. Nieświńskiego polityki „zaciskania pasa” wręcz głosił, że polityka gospodarcza tylko o tyle ma sens, o ile zmierza do osiągnięcia celów pozagospodarczych.

Drugą trudność sprawia podejrzliwość, z którą mój krytyk szuka „między wierszami”, czy czasem nie popełniam zbrodni obrony naszej ówczesnej polityki. Owszem, gotów jestem bronić jej przed tymi zarzutami, które uważam za niesłuszne. Do tego się z cynizmem przynajmniej ułatwić zadanie tym wszystkim, którzy zwykli każdy rzeczowy argument oglądać pod kątem: POCO ONO TO POWIEDZIAŁ? KOGO CHCIAŁ ZAATAKOWAĆ? KOGO OBRONIĆ? Nie myślę jednak, aby taka metoda dyskusji podnosiła jej poziom. Ogólniejsza zaś teza, jakoby zamiłowaniem do bron-

zownictwa stanowiło szczególną naszą wadę narodową, brzmi wręcz jak ironia. Wszak prześcigaliśmy się w obniżaniu wartości własnych i własnego dorobku w tym samym czasie, gdy propaganda innych narodów potrafiła już rzucić korzystne światło nawet na najciemniejsze plany ich niedawnej historii.

Też mego poprzedniego artykułu nie było, jak mi to uprzejmie Autor listu wmawia, że Polska nie mogła osiągnąć „tak wysokiego potencjału gospodarczego, jaki zdobyła III Rzesza”, ale że wszystko, na co mogliśmy się zdobyć było niepomierne, wielokrotnie mniej niż to było możliwe w Niemczech. Ta zaś teza nie tylko nie wyjdaje się „wybijaniem drzwi otwartych”, ale chyba i p. Nieświński jej nie podziela, skoro pisze, że nasza polityka inwestycyjna ostatnimi laty wygląda „jak zabawka grzecznych dzieci”, nie próbując zresztą obalać moich argumentów wyjaśniających dlaczego nasze osiągnięcia, zaszczytne wytrzymujące porównanie z osiągnięciami bogatszych od nas krajów Zachodu, musiały wyglądać jak zabawki wobec osiągnięć niemieckich.

Nie zajmuję mnie scholastyczny spór o to, czy się komu podoba nazywać ekonomię nauką, czy sztuką, wątpię natomiast, by p. Nieświński chciał poważnie bronić dopuszczenia na ten teren magii, co oczywiście zamkataby dyskusję.

Największą wagę przywiązuję za to do ostatnich zdań listu. Dość niespodzianie wskazuje w nich Autor dwa klasyczne, najprostsze i niezawodne środki przyspieszenia rozwoju gospodarczego: więcej pracować i mniej spożywać. Jakże daleko odbiegliśmy tu od „magii”. Jak bardzo zbliżyliśmy się do „zaciskania pasa”. Postulat najskrajniejszych zwolenników zaciskania pasa to „szczeniak” w porównaniu z alternatywami p. Nieświńskiego. Nie słyszałem dotąd, by ktoś w Polsce projektował pozostawienie spożyciu mniej niż połowy dochodu społecznego. P. Nieświński dopuszcza możliwość zostawienia zaledwie 10%. Tylko czarny reakcjonista mógł w Polsce myśleć o 48-godzinny tygodniu pracy, tydzień 46-godzinny już był atakowany jako zbyt uciążliwy. Autor listu mówi o 16 godzinach pracy dziennie. Wątpię, by sam Autor traktował poważnie te normy, przy których ludność wymarłaby w krótkim czasie. Ale sam kierunek tej przesady jest bardzo symptomatyczny.

Popełnia ją bowiem zwolennik, o ile zrzuciałem z pierwszej połowy listu, tzw. aktywizm gospodarczego, tj. kierunku, który łączył demaganie się większych inwestycji i większych zbrojeń z żądaniem powiększenia spożycia, wzrostu płac realnych, rozwoju budownictwa mieszkaniowego, raczej skracania niż przedłużania czasu pracy. Byłbym nieuczciwym przedstawiając ten zespół wymagań jako logiczny absurd. „Aktywizm gospodarczy” może się powołać na tak znakomitego patrona, jak doradca ekonomiczny rządu angielskiego prof. J. M. Keynes, a uzasadnienie teoretyczne tego kierunku w grubym uproszczeniu polega na nadziei spogłowania produkcji dzięki rozwojowi popytu. W praktyce jednak zarówno bogate, przemysłowe Niemcy, jak uboga, rolnicza Rosja, zarówno to ostatnie mocarstwo, izolowane od świata, jak oparta o eksport Japonia — nie poszły tą drogą, ale zastosowały zgodnie i z niemalym wyni-

kciem środki klasyczne: więcej pracy, mniej spożycia. P. Nieświński przyjrzał się polityce gospodarczej ZSRR. Obawiam się, że ją także dotkliwie odczuł. Gdy teraz mówi „nauczcie się doświadczeń” — słowa te nie są pustym frazesem. Mają sens głęboki i jeżeli Autor nie jest wyjątkiem, jeżeli wszyscy jesteśmy skłonni wyciągać z doświadczeń wnioski, choćby nieprzyjemne i choćby wymagające niejakiej rewizji poprzednich poglądów — to jest zjawisko radosne, na którym wolno opierać najlepsze nadzieje na przyszłość.

Stwierdzenie, że osiągnięcia dwudziestolecia nie są kompromitujące i nie mogły być wielokrotnie pomnożone, nie oznacza bynajmniej, jakoby nie mogły być sporo większe. Byłoby wręcz cudem, gdybyśmy bez doświadczenia i w bardzo złożonych warunkach nie popełniali grubych błędów. Największym z nich nie była ostrożność w dziedzinie pieniężnej, ale niezdecydowanie, brak wyraźnej, zrozumiałej dla społeczeństwa linii. Nie podobna żądać wysiłków i wyrzeczeń bez stworzenia pewności, że ich owoce nie pójdą na marne, nie będą też służyły jakimkolwiek grupom interesów, ale wyłącznie dobru publicznemu. Trzeba wskazać cele, ku którym się dąży. Ostatni kierownik polityki gospodarczej usiłował takie cele działać, na wyobraźnię wytyczyć, ale już nadchodząca wojna nie dała mu swobody wykonania.

Jeżeli, jak się spodziewano, przyszedł pokój udaremnili agresję na czas choćby nieco dłuższy niż to uczynił pokój wersalski — sprawą naszego bytu i realizacji naszych zadań będzie nadanie rozpadu rozwojowi gospodarstwa Polski. W pierwszym, najbezpieczniejszym okresie wszystkie wysiłki muszą być ześrodkowane około podstawowego zagospodarowania kraju tzn. stworzenia kapitału w ilościach i postaciach niezbędnych dla wydajnego zatrudnienia wszystkich posiadanych czynników twórczych. W tym okresie muszą powstać: różnicowana sieć szkolna, odpowiadająca potrzebom całego kraju sieć komunikacji wodnej i lądowej, podstawowe melioracje, poprawa stroju rolnego, źródła taniej energii i środki jej rozprzestrzenienia, wreszcie — możliwe liczne kadry pracowników przygotowanych do sprostanania potrzebom rozwijającego się gospodarstwa narodowego. Gdy zbudujemy mocną podstawę — naturalnym tego wynikiem będzie szybki rozwój produkcji, możliwość przeznaczania poważnych środków na zbrojenia, wzrost bezpieczeństwa i znaczenia naszego w świecie, nasza siła atrakcyjna dla sąsiednich narodów.

Michał Ciołek

SKŁADKI

Oticerowie, podoficerowie i szeregowcy baonu łączności Kresowej Dywizji piechoty złożyli samorządnie w miesiącu maju r. b. kwotę 60,931 D. l. na pomoc dla rodzin żołnierzy wojsk łączności znajdujących się na Srodkowym Wschodzie.

Kan. Daszkiewicz Jan na sieroty polskie w Kijew 500 fls.

Strzel. Stanisławski Leon na jeńców wojennych 500 fls.

Na polskie dzieci w ZSRR przez Duszpasterstwo Armii grono och. OZ PSK złożyło D. l. 5.780 i grono żołnierzy 15 Komp. Warsz. D. l. 2.077. Pieczęcie przekazano do B. P. R. W. i. W.

TYGODNIK

przegląd

CZASY OBECNE CHARAKTERYZUJE NASTROJ OCZEKIWANIA. Oczekiwanie na doniosłe wydarzenia wojenne i polityczne. W prasie pełno pogłosek na tematy inwazyjne, możliwości desantowych, planów ofensywnych i defensywnych „osi”. Jednocześnie zaczęły ukazywać się rozważania o ewentualności wycofania się z wojny tego lub innego państwa. Wszystko to razem wytworzyło atmosferę „wojny nerwów”, tak znaczącej dla okresów krytycznych. W tej powodzi plotek, polemik i zgadywań przyszłości jedna rzecz wydaje się prawidłową i realną, a jest nią wojna lotnicza, którą sprzymierzeni prowadzą z „osią” w zachodniej Europie.

Zdobycie przewagi w powietrzu jest w wojnie nowoczesnej pierwszym warunkiem osiągnięcia sukcesu w operacjach na większą skalę. Rozumieli to dobrze Niemcy, gdy w roku 1910 próbowali dokonać desantu na Anglię. Gdyby wówczas w wyniku nieustannych i gwałtownych nalotów na Wielką Brytanię udało się im zniszczyć jej flotę powietrzną — najadł ich na wyspę miałby szanse powodzenia. Anglicy wykazali wszakże wielką umiejętność w rozegraniu bitwy powietrznej. Nie dali się wytrzebić i obezwładnić lotnictwa. Osiągnęli to dzięki oszczędnemu operowaniu sprzętem i materiałem ludzkim, lecz i kosztem zniszczenia Londynu i wielu miast angielskich. Woteli poświęcać zabytki i domy mieszkalne niż swe samoloty, które rzucali do boju z niezwykłą przecznością i dla celów ściśle strategicznych.

OBECNE * BOMBARDOWANIA NIEMIEC I WŁOCH, które w ubiegłym tygodniu objęły miasta Oberhausen w Zagłębiu Ruhry, Kolonii, Berlin, Neapol, Sycylię oraz różne obiekty w zachodnich krajach okupowanych, mają na celu nie tylko niszczenie ośrodków przemysłu wojennego, węzłów kolejowych i portów, ale zarazem dziesiątkowanie i obezwładnianie lotnictwa „osi”. Z tego punktu widzenia wyniki tych działań nie są do pogardzenia. Komunikaty doniosły, że np. w ubiegły piątek stracono nad Sycylią, Sardynią i południowymi Włochami 39 samolotów „osi”. Wiadomo również, że Pantellaria została wzięta w praktyce przez lotnictwo. Gdy samoloty „osi” przestaly jej bronić, wyspa padła. Podobna sytuacja powinna nastąpić przy dalszej ofensywie. Warunkiem desantu jest poprzednie wytypowanie wroga.

Sytuacja na odcinku lotniczym przedstawia się dla „osi” coraz kłopotliwiej. Według obliczeń fachowców Rzeszy rozporządza obecnie około 4 — 5.000 aparatami pierwszej linii. Lotnictwo to podzielone jest na 5 flot powietrznych.

Flota nr 1 (gen. Keller) na północnym odcinku frontu sowieckiego, nr 2 (gen. Kesselring) na Morzu Śródziemnym, nr 3 (gen. Sperrle) ostaniamy Niemcy, Holandii i Francji, nr 4 (gen. von Richthofen) działa na południowym odcinku frontu sowieckiego, nr 5 (gen. Stumpf) ostaniamy Norwegię i Finlandię.

Potowa samolotów pierwszej linii czyli około 2500 maszyn obsługuje

front sowiecki. General Sperrle rozporządza 1500 aparatami, którymi broni Niemiec. Dla ostony niemieckiego przemysłu i linii kolejowych wyznaczono 350 samolotów stacjonujących w Danii, Holandii i Belgii. Ponadto pewne siły lotnicze stoją nad Zatoką Baskijską, by ostaniamy wyprowadzić podwodnych. Flota powietrzna w Norwegii i Finlandii liczy tylko 200 aparatów pierwszej linii. Natomiast Kesselring posiada 800 aparatów pierwszej linii, lecz musi nimi obsłużyć Sycylię, południowe Włochy, Kretę, Dodekanez i Grecję. W maju Kesselring stracił 337 aparatów. Takiego tempa strat nie wytrzymają żadna flota powietrzna. Nie też dziwnego, że słabość Kesselringa stała się głównym powodem klęski Rommla. Dziś siły powietrzne Kesselringa mogły być wzmacnione jedynie kosztem lotnictwa ostaniamy Niemcy.

LECZ CZY BERLIN MOŻE ZARYZYKOWAĆ osłabianie swych sił w Europie zachodnio-północnej dla odcinka południowego? Oto dlaczego minister Eden mógł powiedzieć niedawno, że lotnictwo sprzymierzonych panuje nad wszystkimi bazami w północnej Afryce i że Włochy stoją dziś otworem dla ataków powietrznych sojuszników. Słabość Włoch w powietrzu, dziś już tak widoczna, a której Niemcy nie mogą skutecznie zaradzić, będzie pierwszą przyczyną ich klęski.

Czy w tych warunkach główne uderzenie desantowe zostanie skierowane na Włochy? Niektórzy pisarze wojskowi uważają ofensywę na Włochy niemal za bezcelową, gdyż Półwysp Apeniński stanowi „ślepią ulicę” zamkniętą murem Alp. Inni wręcz przeciwnie twierdzą, że opanowawszy Włochy sojusznicy zdobyliby doskonałą bazę do uderzenia bądź na Bałkany, bądź na Francję, a w Lombardii uzyskaliby świetne lotniska do bombardowania południowych Niemiec.

„Daily Telegraph” wystąpił z twierdzeniem, że w przekonaniu „osi” uderzenie sprzymierzonych skierowane będzie głównie na Kretę, Dodekanez i Grecję. Z tego punktu widzenia nie minęła bez wrażenia wizyta sir Johna Cunninghama, dowódcy floty brytyjskiej na Lewancie, w stolicy Turcji, gdzie widział się on z czołowymi przedstawicielami tego państwa.

Inni natomiast publicyści uważają, że najlepszym celem natarcia pozostaje Francja, mimo silnego ufortyfikowania jej brzegów. Zarówno bliskość Anglii, jako jednego wielkiego arsenału i potężnej bazy zaopatrzenia, jak i oparcie się o jej rozliczne porty oraz możliwość szybkiego dotarcia do neutralnych dla niemieckiej maszyny wojennej punktów w Nadrenii, czynią uderzenie na Francję przedsięwzięciem najbardziej celowym. Różni fachowcy obliczają, że do przeprowadzenia ofensywy na Europę potrzeba 120 dywizji, z których 75 wzięłyby udział w akcji desantowej we Francji, 25 stałoby w Anglii w odwodzie, a 20 dokonałoby uderzeń dywersyjnych w kręgu Morza Śródziemnego.

Wobec tego, że nawet w razie stabilizacji frontu w Rosji, dalszego

jego skrócenia i zrezygnowania tam z ofensywy, Niemcy musieliby tam zostawić co najmniej 150 dywizji, uzyskaliby oni tylko 82 dywizje, które mogliby przesunąć ze wschodu na zachód, by przeciwstawić się inwazji. Obecnie Niemcy posiadają we Francji 31 dywizji swoich i 6 włoskich.

PANSTWA „OSI” NOTUJĄ WSZYSTKIE TE MOŻLIWOŚCI i starają się im zaradzić. Niemcy usiłują z jednej strony podparć moralnie Włochy, z drugiej zaś przez ustawę swego ministra oświaty przyzajają, że walczą „ze zniszczeniem i rozkładem”. Obecna sytuacja wyusza przed nimi groźną perspektywę walki na kilku frontach, co stawia ich wobec spłotu trudnych zagadnień strategicznych i politycznych, związanych z coraz gwałtowniejszą potrzebą odwołów.

Rząd włoski wydaje dalsze zarządzenia obronne. Dyrektoriat partii faszystowskiej, w której trwa nieustanna czystka, znowu rozszerzył pełnomocnictwa policyjne Mussoliniego, domagając się szczególnie „bezlitosnego usuwania” rozkładającej kampanii w handlu, co świadczy, że warunki gospodarcze we Włoszech pozostawiają wiele do życzenia. Ponadto zarządzono oficjalnie ewakuację miast Sycylii i Sardynii, a także Neapolu ogłaszając, że szeregi prowincji południowych Włoch staje się „strefą działań wojennych”. Podobne zarządzenia obronne czynią Niemcy w Grecji, zwłaszcza na linii Ateny-Saloniki. Radio algierskie ze swej strony wezwało ludność włoską do opuszczenia miast przemysłowych, którym grozi bombardowanie.

W TYM NASTROJU „WOJNY NERWOWI” i zapewne w racji pobytu króla Jerzego VI w Afryce północnej, rozszala się pogłoska o przybyciu tam również następcy tronu włoskiego i marszałka Badoglio, celem nawiązania rokowań o odrębnym pokój. Pogłoski te nie znalazły potwierdzenia. Istotnie nie wydaje się, by Włochy były zdolne do kroku tak samodzielnego w stosunku do Niemiec, jak wystąpienie z „osi”, i by miały ludzi gotowych wziąć za taki krok odpowiedzialność. Partia faszystowska, ostrzeżona przez prezydenta Roosevelta, będzie zapewne chciała bronić się do upadłego. Niemcy zaś uczynią wszystko, co nie będzie obciążało zbyt ich interesów oraz ich obrony, by Włochy walczyły jak najdłużej dla dobra Rzeszy. Charakterystyczny jednak dla nastrojów włoskich jest fakt rozwiązania przez Mussoliniego włoskich grup irredentystycznych, które domagały się dla Italii Nicei, Korsyki i Tunisu oraz innych nie włoskich ziem. Czyżby to była pierwsza jaskółka zapowiadająca wycofanie przez Włochy agresywnych celów wojennych? Czyżby to był ich pierwszy krok pojednawczy?

W piśmie szwedzkim mającym stosunki z Niemcami „Allehanda” ukazała się również wiadomość o rokowaniach pokojowych, lecz tym razem niemiecko-sowieckich, prowadzonych rzekomo niedawno i bezskutecznie w Sztokholmie. Według tych wiadomości, Niemcy gotowi byli

oddać Rosji Polskę za Ukrainę. Niemal identyczne komunikaty niemieckie i sowieckie zaprzeczyły pogłosce,

Co prawda od czasu do czasu Niemcy zapowiadają nadchodzące „wielkie wydarzenia” na tym froncie, wydaje się jednak, że na razie chcieliby oni przed ruszeniem na wojska sowieckie wycofać, co zrobią sojusznicy na zachodzie. Z drugiej strony muszą oni pamiętać, że za cztery do pięciu miesięcy wróci dogodna pora lecz dla ofensywy sowieckiej. Nie należy także zapominać, że uniknięcie wojny na dwa fronty stanowi wręcz strategiczną obsesję Hitlera i że z tego punktu widzenia gotów on zgotować różne niespodzianki.

POWOŁANIE MARSZAŁKA WAVELLA, głównodowodzącego w Indiach, na wysokie stanowisko wicekróla Indii, mianowanie na jego miejsce gen. Auchinlecka, przewidziane wydzielenie odrębnego dowództwa Azji wschodniej i wyłączenie operacji przeciwko Japonii z pod dowództwa Indii, pozostaje na pewno w związku z uchwałami, które zapadły w Waszyngtonie podczas pobytu premiera Churchilla. Postawiono wówczas zmoczyć walkę przeciw Japonii i przyjść z pomocą Chinom. By jednak pomoc dla Chin była skuteczna, trzeba odbić drogę burmańską, jedyną dogodną linię zaopatrzenia do Chin. Odsyskanie Burmy jest wszakże zadaniem tak poważnym, że dowódca, któremu będzie ono powierzono, winien być oddzielony od innych trosk związanych z obroną kraju tak wielkiego i budżetowo takie apetyty, jak Indie. Oto sens zapewne ostatniej nominacji.

Podczas gdy sytuacja obecna jest pełna niewiadomych, angielska Labour Party powzięła decyzje stanowcze i niedwuznaczne. Na kongresie tego robotniczego stronnictwa, które jest odpowiedzialnym P. P. S., odrzucono nie bez czynnego współdziałania członka rządu ministra Morrisona, propozycję komunistów połączenia się z Labour Party. Wniosek przedpadł 1.951.000 głosami przeciw 712.000. Labour Party uznała, że komuniści w Anglii zrobią najlepiej, jeżeli śladem Kominternu rozwiążą się również. Labour Party jest za układem z Sowietami w polityce zewnętrznej, ale nie chce — podobnie jak te inne kraje europejskie — komunizm u siebie.

Drugi wniosek kongresu dotyczył Niemiec. Wychodząc z założenia, że opozycja przeciw hitlerowcom w Rzeszy jest znikoma i że przytłaczająca większość ludności popiera Hitlera, Labour Party stanęła na stanowisku, że nie będzie trwałego pokoju bez całkowitego rozbrojenia Niemiec i zająć się wychowaniem narodu niemieckiego na nowych podstawach.

Prasa brytyjska uznała, że przyjęcie tej uchwały świadczy o zwycięstwie poglądów lorda Vansittara w Labour Party, a zatem przekonania, że całe Niemcy są odpowiedzialne za wojnę i za popełnione zbrodnie oraz, że tak zwani „dobrzy Niemcy” w praktyce nie istnieją i nie powinni wchodzić w rachubę przy ustalaniu warunków pokojowych. Sensacyjne te uchwały świadczą, że w środowiskach robotniczych Anglii istnieje wola prowadzenia wojny do końca i osiągnięcia pełnego zwycięstwa. Jest to jeden z najbardziej charakterystycznych objawów dla oceny sytuacji wewnętrznej w Wielkiej Brytanii.

NIE OGLĄDAJ SIĘ W TYŁ

Chwile odjazdów liczą się zawsze najdłużej, to też wojsko skraca je sobie jak umie. W szoferkach i pod płóciennymi budami snują się długie opowieści czerpane garściami z karpackiej przeszłości, odzywają dawno zagrzebane wypadki i giną porwane wiatrem jak dym z Capstena.

Znow odjeżdżamy dalej w świat. Jesteśmy na przełomie pomiędzy znanym a nieznanym. Kolumna nasza od dwóch godzin czeka na kolej wejścia w ruch. Gdy nasza chwila wybije, wpłyniemy w konwój i wówczas jesteśmy w bezlitosnych kleszczach dyscypliny marszowej. Jeszcze dla wielu z was jest to puste pojęcie, jeszcze dla wielu brzmi to obco. Tym powiem tylko, że na sobie od czują bezlitosną dyscyplinę marszu zmotoryzowanego — najtwardsze prawo wojny XX wieku.

Siedziwny w szoferce z kapralem Władkiem, wypaliliśmy pudełko papierosów, kapral dwa razy zapuścił z nudów silnik i zgasił, a o odjeździe wciąż jeszcze głucho.

W kabinie bzyka mucha. W sąsiedniej Dodżce ktoś nadaje monotonnym głosem:

— Celina, Adam, Roman. Słucham... Siedzę otepiałym w położeniu człowieka skazanego na perspektywę długiej nudy. Głos kaprała wdziera się do świadomości tak nagle, że aż podrywa.

— Ciekawa rzecz, ilekroć gdzieś wyjeżdżamy, wciąż mi się przypomina to zdarzenie z naszą Arabką w Dikheili. Ależ to historia z nią wyszła...

— To jeszcze w Egipcie?
— A tak. Fatme miała na imię. Było to tak, jakby dzisiaj. Brygada wyjeżdżała do Marsa Matruh. Na pustynię. Jasna rzecz, że wszystkim było żal. W Aleksandrii każdy miał swoje znajomości. Kino i NAAFI o dwa kroki. Piwa ile kto wypił. No i Fatme...

— Ładne imię.
— Bo ja wiem czy ładne? Ale dziewczyna — marzenie! Zgrabna, wysmukła i te jej oczy, takie wilgotne, duże. Sam nie pamiętam, skąd się wzięła u nas, zdaje się bieliznę zabierała do prania, czy coś takiego. W każdym razie szybko zgrała się z kompanią. Zeby pan wiedział ilu do niej robiło oko, ona jednak najlepiej polubiła naszego plutonowego.

Przy samochodach weszła się ruch. Sąsiednia kolumna wpłynęła w arterię marszu. Jeden wóz po drugim wyrwał się z bezruchu i w chwilę później runęła na nas ściana gęstego pyłu. Zaczęliśmy windować okna do góry, a przerażona ruchem Derna wskończyła na maszkę patrząc wymownym spojrzaniem, które oznaczało:

— Nie odjeżdżajcie beze mnie.
— Więc rozumie pan, dziewczyna straciła zupełnie głowę. Patrzyła w chłopca jak w obrazek. Zaczęła się stroić i narażała się Arabom, którzy źle patrzyli na takie romanse.
— Odważna.
— Jaka tam odważna — kapral zrobił lekcważący ruch. Lekko myślą, rozumie pan. W tych jej oczach wyczytać można było to samo, co u naszej Dery. Skęce to, chwytła dla żartu zębami to za spodnie, to za rękę, a w ślepiach każdy widzi niepewność, jakby mówiły: przecież nie zrobisz mi krzywdy?

Dziwnie, ale od tej chwili jakbyśmy ją zobaczyli, kruchą istotę wierzącą w dobro człowieka.

Na okopnie habasliwym motocyklu nadjechał zandarm z RR-ów. Zaga-

kazało się, że sprawdzał numerację wozów w kolumnie.

Po chwili kurz opadł.
— Chłopaki śmiali się z tego jej romansu. Plutonowy miał żonę i dwoje dzieci w kraju. Ale wyperwaduj co takiej dziewczynie. Nauczyła się kilku słów po polsku, próbowała nawet z nami rozmawiać. Widać, że pożerała ją ciekawość. Wypytywała o Polskę, o miejskie życie, a najwięcej o nasze kobiety. Godzinami potrafiła kręcić się po obozie. Jasna rzecz, regulamin zabraniał przebywania kobiet w brygadzie, ale pan rzucmie, jak się stoi w miasteczku, to i żołnierz jest nieskrepowany i niejedno przez to ujdzie.

— Dobre mieliście czasy. Mimo woli popatrzyłem na otaczające nas pustkowia.

zelek i siadał do Morrisa. No i zrobiła się awantura... Porucznik podchodził i tłumaczy jej, że nie może jechać z nami, że to nie ma sensu. Z początku nie dawała się przekonać. Zaklinała, że pójdzie z nami na front, że będzie prała bieliznę, cerowała skarpetki, że umie przecieć gotować. Porucznik kręcił tylko przecząco głową. Na to ona zaczęła mówić głośniejszym głosem, potem łapać za rękę, zaklinać — ale i to nie pomogło. Po tym ostatecznym, gwałtownym wybuchu nagle coś zalało się w niej i ucichła. Przeszła mówić. Straciła z miejsca cały impet. Ręce jej opadły, a z oczu zaczęły kapać na piasek wielkie, pojedyncze łzy.

— Została?
— A jak inaczej? Dwa lata przeszły od tej pory a wciąż ją widzę,

TO WSZYSTKO NIC...

Wiersz ten nadesłany nam został przez jedną z rodaczek pozostałych w Rosji. Nazwiska autorki nie możemy ujawnić.

To wszystko nic, małeńka, ronić łez nie warto —
Czas pędzi, leci naprzód, mija coraz prędzej.
A nasze biedne życie, historyczną kartą
Zapisze się na zawsze w wielkiej księdze.
Jesteśmy Polki, córko, nam nie wolno tchorzyć,
To wszystko nic — serduszka niespokojne bicie,
W dziecinnych oczach łzy, takie srebrzyste, duże —
To wszystko nic, małeńka, to jest tylko życie.
Nie mamy skrzydeł z tobą i nasz łódz podniebny
Tak śmieśnię skończył się jak łkarcza radość,
Ale pamiętaj, nie ma ofiar niepotrzebnych,
I nie ma róż, które przekwitły by bez śladu.
To wszystko nic, małeńka, gdy nam smutno będzie
Możemy marzyć z tobą o przyszłości innej
I o rycerzach polskich, którzy jak w legendzie
Ożyli dzisiaj znow, jak w księdze twej dziecinnej.
To wszystko nic, małeńka, krzywdy i brak chleba
I nasze krwawe dnie i noce czarne, czarne —
Zaciśnij ząbki mocno, powiedz, że tak trzeba
I rzuć niedołą swą na wielki stos ofiarny.
Wtedy w serdusku twym przycichną śnieżne burze,
Pachnące łąki polskie słodką pieśń zagrają,
Obeschną w oczach łzy, takie dziecinne, duże —
To wszystko nic, małeńka: Polka zamartwychwstaje!

— Co z tego. Trzeba było wyjeżdżać. Kiedy przyszła wiadomość, że żegnamy Dikheilę i ona dowiedziała się o tym, toż to wyszła tragedia! Chodziła przez kilka dni jak skołowana, aż wszystkim zrobiło się żal dziewczyny. Zresztą, nawet w przeddzień wyjazdu jakoś się uspokoiła. Myślałem że pogodziła się z sytuacją — ale gdzie tam... Przy odjeździe wyszła straszna heca. Rano, gdy kolumna miała ruszać, ona przyszła na plac. Wszycyśmy osłupieli. Rozumie pan, tutaj pułkownik, tam major nie mówią już o naszym poruczniku, który chodził od wozu do wozu. Patrzę na nią — umalowana, czego nigdy przedtem nie robiła, ubrana w swoją najlepszą sukienkę — jasno-fioletową i zielony sweter. Na rękach, widzę, złote bransolety, w uszach koleżki. Gdyby nie węzełek w rękę i lusterko pod pachą uwierzylibym, że przyszła się pożegnać.

— Naprawdę chciała jechać z wami na wojnę?

— Jasna rzecz. Patrzywy na siebie, porucznik waha się co zrobić, a tu ona oddaje plutonowemu wę-

zelek i siadał do Morrisa. No i zrobiła się awantura... Porucznik podchodził i tłumaczy jej, że nie może jechać z nami, że to nie ma sensu.

Motocyklista przywiózł wiadomość, że kapral wezwany jest na odprawę marszową. Jedziemy widać łada chwila.

Wraca po kilku minutach. Pierwsze wozy już poszły. Czekamy z zapuszczeniem silników.

— Widział pan ją później?

— Nigdy więcej. Plutonowy zginął pod Gazalą, na froncie, a ja nawet jej nie szukałem po powrocie do Aleksandrii...

Zaciął się jakby, ale wnet wyrzucił z siebie jak pod przymusem:

— Bo, widzi pan, mam zasadę której się trzymam — nie oglądać się w tył. Co było — minęło, rozkuliwać się nie warto. Tetez nie poszećłem..

Cisza w kabinie. O, jakże ciężko odjeżdżać nawet z takiej dziury. Tyle było już tych etapów, a na każdym przecież pozostawiliśmy kawałek serca. Tu też... Ogarniam wzrokiem nagie i bure kępcy nad Trygrem, wylężące zebra skalne jak piszczele fakira. Dziwnie bliskie

— psiać. I przecież nie było żadnej Fatme...

Wóz już jedzie. Po lewej i po prawej stronie znajome pola rumianków i maków, zaraz będzie parów z zieloną wodą i ropą. Tak, wszystko znajome, po lewej ręce zobaczą kopcie porośnięte trawą, a za nim wyboistą drogę do Q. Bądź co bądź przeżyliśmy tutaj naszą wiosnę asyryjską. Nigdzie nie było tak pięknych anemonów w parowach, nigdzie tak szkarłatnych tulipanów. Łapie się na pragnieniu utrwalaenia w sobie przżytych miesięcy, „zabalsamowania” Q. Czyżbym był już zmęczony? Nie byłoby w tym nic dziwnego. Tyle lat, tyle krajów, tyle włości...

Wystarczy zamknąć oczy, aby zobaczyć jakieś strzępy, jakieś epizody tych naszych dróg przez rzeki, przez bagna, przez piachy. Dróg przez lesiste Karpaty (garść ziemi zgarnięta na granicy i schowana na piersi), dróg przez puszcze (noc księżycowa, szum kolb kukurydzy, dalekie ujadanie psów — granica), dróg przez rzeki Bałkanów (Drawa w histopadzie, mży deszcz, błoto, płacemy się w drutach: cicho — bo o sto kroków zandarmi w karczmie — piją rakiję), dróg przez Turcję (Taurus piętrzy się a koła pociągu stukają „już po drugiej stronie wojny, już po drugiej stronie frontu”), dróg przez Palestynę, przez Egipt (kolumna jadła wzdłuż Nilu, w górę rzeki, kwiecień, jakieś drzewa kwitną fioletowo, po drugiej stronie rzeki schodkowa piramida — historia Polski mnożona przez sześć), przez Morze Śródziemne (nec w październiku, spokojna tufa i światło księżyca drążące się coraz głębiej, głębiej w granatowej otchłani, dróg przez syryjską pustynię (konwój, kurz, na postojach wszystkie psy klebią się i ujadają, wrona kracze a dwa koty wieszono przez kucharkę pożerając łapczywie surowe mięso — postój nazywa się II), dróg przez Syrię, Babilon, drogę wciąż irnych a nieodmiennie prowadzących w jednym kierunku — tam

— Czyżbym był już zmęczony — nie potrafię dać sobie odpowiedzi. Wóz już szoruje ostro, szluszając do kolumny. Spoglądam na kaprała, schylny nad kierownicą, zamknięty w sobie, zły.

Derna położyła głowę na podłodze kabiny i oddycha ciężko wiewsiwszy język. Smutno pieskowi poprzedni marsz zmotoryzowany odbyła w towarzystwie Klocka, Homsa i dwóch gołębi. Było weselej.

— Czyżbym był zmęczony? Wraca do świadomości natrętna myśl. Regulacja życia kaprała staje się nagle bardzo aktualna. Trzeba umieć zapamiętać o rupieciach przeszłości. To przecież jest powiedziane w „Grenadzie” Swietłowa, zaraz, zaraz — już wiem — w tym trzęsisku gdzie poeta żegna uroczą przebrzmiałą piosenkę.

I coż w namili, za piosenką tęsknicie! Nie wolno. Pieśń nowa stworzyła nam życie. I składa i składa i naprzód nas gna...

Tak. Kapral na racje. Życie stawia nas wobec coraz innych zagadnień. Zeby im poradzić trzeba umieć zapamiętać o starych. Już nie oglądam się na Q, choć wiem, że jeszcze tylko teraz, jeśli wyjrzę, nieco odwrócę głowę, zobaczę jej zarys. Jeszcze chwila, a zniknie za wzgórzami, bezpowrotnie.

Niech znika. Patrzę przed siebie. I powtarzam twardo, choć usta mam nieruchome.

— Nie oglądaj się w tył.

Witold Domański

TUNISKA EKSPEDYCJA „OSI”

BITWA na LINII



Mareth

ZPH↑↑

Drugi okres walk tuniskiej ekspedycji „osi” zapoczątkowuje moment osiągnięcia przez wojska Rommla obszaru Tunisu – a zamykają go działania wojsk sprzymierzonych opuszczone z warty pierścieniem przyczółek „osi” na bezpośrednich przedpolach portów Bizerty i Tunisu. Trwa on prawie dwa miesiące tj od połowy lutego do połowy kwietnia b.r.

Z chwilą przybycia na obszar Tunisu, marszałek Rommel obejmuje dowództwo nad całością sił „osi”. Położenie swych wojsk ocenia on następująco:

Na północnym skrzydle dalekiego przedpola Bizerty i Tunisu zgrupowanie wojsk gen. Arnima zajmuje silne i dogodne do obrony pozycje, tym bardziej łatwe do utrzymania, że pora deszczowa w wysokim stopniu utrudnia I armii brytyjskiej rozwinięcie działań zaczepnych w poważniejszym stylu. Na odcinku tym, dzięki uzyskanej przewadze powietrznej, łatwo będzie można wiązać przy pomocy wypadów taktycznych siły przeciwnika utrudniając przesuwania jego odwodów ku południowi Tunisu.

W centrum frontu oddziały armii amerykańskiej gen. Clarke'a, rozwijające się poprzez rejon Gafsa na Gabes, bezpośrednio wychodzą na tyły ugrupowania wojsk „osi” rozmieszczonego na linii Mareth. Wojska te nie posiadają jeszcze doświadczenia wojennego. Muszą one ponadto pokonywać duże trudności zapotrzebowania ze względu na oddalenie od baz. Łatwo je więc można będzie odrzucić śmiałym wypadem.

Na południu nadciągającym oddziałom VIII armii brytyjskiej, stanowiącej najgroźniejszego przeciwnika, chwilowo przeciwstawić będzie można opór na silnie ufortyfikowanej linii Mareth. Ewentualne pobicie tej armii dać może duże szanse utrzymania inia w sposób trwały obszaru Tunisu.

Na tej podstawie postanawia Rommel: wiązać przeciwnika przez działania obronne i wypadki na płn. i płd. odcinkach frontu, rozwijać śmiałe własne działania zaczepne w celu pobicia sił amerykańskich i odrzucenia ich najdalej ku północy. Gdyby działania VIII armii nie dały się jeszcze poważnie odczuwać na płd. flance, Rommel zamierza wykorzystać ewentualne powodzenie, by razem z armią gen. Arnima zepchnąć I armię z obszaru Tunisu do Algeru.

Natarcie swoje montuje Rommel grupą pancerną w składzie: 10., 15., 21. dyw. panc. i 90. dyw. lekka w pierwszym rzucie oraz jedną dywizję pancerną w drugim rzucie. Dla wsparcia tego działania przeznacza on całość dyspozycyjnego lotnictwa, z wyjątkiem nielicznej grupy współdziałającej z lokalnymi wypadami armii gen. Arnima. Na linii Mareth pozostawia on dwie dywizje włoskie, przeplatane baonami 164. dyw. piech. niemieckiej i brygady spadochronowej.

Uderzenie to zaskakuje debuszujące z Gafsa przednie strażnice armii amerykańskiej, osiągając w dalszym ciągu szybkie sukcesy, które dopro-

wadzą wojska „osi” aż na bliskie przedpole węzła Tebessa (główna baza zaopatrzeniowa armii amerykańskiej).

Energiczne jednak przeciwnatarcie odwodów gen. Alexandra oraz aktywność rozpoznawczych VIII armii, która osiągnęła już linię Mareth, zmusiła Rommla do wycofania się z wysuniętych stanowisk i odskoku do rejonu Gabes.

W dość ciekawy sposób były montowane natarcia grupy pancerniej Rommla. Rzut czołowy fali uderzeniowej tworzyła artyleria towarzysząca jednostek pancernych, która pod osłoną lekkich czołgów wiązała swym ogniem i neutralizowała od frontu siły przeciwnika. Drugi rzut utworzony przez średnie i ciężkie wozy pancerne, wspierany całym lotnictwem towarzyszącym, uderzał na flankę związanego frontalnie przeciwnika. W działaniach odwrotowych zaobserwować można było rzut lekkich czołgów tworzących strażnice tylnie, pod którego osłoną saperzy minowali teren. Wysunięta ku przodowi artyleria dalekimi ogniami blokowała dojścia przednich strażnic kolumn przeciwnika. Rzut średnich i ciężkich czołgów przeznaczony był do niespodziewanych wypadów na flankę sił przeciwnika, opóźnianych na przejściowych pozycjach oporu. Całość tej operacji odbywała się długimi skokami 10 do 30 km, zależnie od terenu i wytworzonej sytuacji. Lotnictwo „osi” nekato częstymi wypadami posuwające się kolumny przeciwnika opóźniając ich ruch.

Zmuszony teraz do walki o linię Mareth, przegrupowuje Rommel swe siły następująco:

Na północy zgrupowanie gen. Arnima ma nadal lokalnymi wypadami wiązać siły I armii starając się związać tam także odwody frontu przeciwnika

Pozostawione w rejonie Gafsa oddziały włoskie w składzie jednej dywizji pancerniej i jednej dywizji piechoty mają osłaniać na przygotowanych stanowiskach w rejonie El Guettar i Maknasi dalekie tyły zgrupowania linii Mareth.

Obsadę linii Mareth tworzą trzy dywizje piechoty. Mają one zatrzymać za wszelką cenę nacierające oddziały VIII armii.

Odwodem centralnym grupy pancerniej (10., 15., 21. dyw. panc. i 90. lekka) rozmieszczonej na głębokim skrzydle i tyłach linii Mareth (w rejonie El Hamma-Gabes) chce Rommel uderzyć na flankę związanych sił VIII armii, względnie paraliżować próby jej obejścia płd. flanki linii Mareth.

Z początkiem marca na całym tuniskim obszarze rozgorzały ciężkie walki. Oddziały amerykańskie uformowane w II korpus gen. Pattona szybko przeniknęły do rejonu Gafsa-Maknasi, stwarzając poważne niebezpieczeństwo dla głębokich tyłów pozycji Mareth. Zmusza to Rommla do rzucenia prawie połowy swego dyspozycyjnego odwodu do rejonu Gafsa. Jednocześnie następuje frontalne przełamanie umocnień „osi” w nadbrzeżnym pasie linii Mareth przez natarcie VIII armii, montowane na wzór uderzenia pod El Alamein. Rzucone do przeciwnatar-

części od wodu Rommla szybko przywracają poprzednie położenie. Zgrupowanie jednak pancerne VIII armii zdolało przeniknąć na głębokie tyły linii Mareth osiągając wzniesienia Dj. Teboga, dające doskonały wgląd na rejon Gabes. Spóźnione i niedokładnie montowane przeciwnatarcia resztek odwodu Rommla nie odniosły skutku.

Wobec ponownego frontalnego uderzenia VIII armii, opór „osi” na linii Mareth załamuje się już 23 marca. Wojska Rommla odskakują pospiesznie do rejonu Wadi Akaret na z góry przygotowane stanowiska, zamykające przesmyk pomiędzy jeziorami Dieryt a morzem. Opór na tej linii był w całym tego słowa znaczeniu przejściowy. Jego dziesięciodniowy czas trwania spowodował raczej trudności zorganizowania ty-

łów przez VIII armię w związku z przerzutem głównych baz zaopatrzenia z portu Tripoli do Gabes. Zmontowane silne natarcie czołowe VIII armii szybko przelamuje te pozycje Rommla odrzucając go daleko ku północy, przy czym 12 kwietnia zajęto już port Sousse.

Tak więc rozegrany został drugi okres walk tuniskiej ekspedycji „osi”. Wojska jej poniosły niewspółmierne wprost straty w stosunku do wygranego zysku czasu. W zabitych, rannych i jeńcach oddziały „osi” utraciły w tym etapie walk ponad 70 tysięcy ludzi, a ponadto prawie 300 czołgów i 425 dział oraz kilkadziesiąt samolotów.

Raz jeszcze oddziały VIII armii zadekowały o losach oporu „osi” w Tunisie.

(Dalszy ciąg nastąpi)

KORAB

O P O E T A C H

Przed kilku miesiącami zwróciłem uwagę na tekst zamieszczonej w „Orle” „odpowiedzi redakcji” jakiemuś czytelnikowi, który zadał słuszne pytanie: dlaczego tak mało ukazuje się u was prozy literackiej – opowiadań czy nowel? Redakcja odpisała, że ubolewa w powodu braku utworów tego rodzaju, ale nie może brakowi zaradzić, jako że większość autorów zasiłających łamy pisma, skłonna jest raczej do pisania wierszy, bardzo zaś nieliczni próbują parać się literacką prozą.

Czym się to tłumaczy? Zagadnienie jest stosunkowo proste. Aby napisać coś prozą, trzeba włożyć dużo pracy, trzeba posiadać pewną, minimalną technikę pisarską, wreszcie trzeba mieć jasno skryształizowany plan tego, co ma się zamier stworzyć. W poezji – w błędnym jej pojmowaniu – sprawa ma się inaczej. Wielu piszących wiersze wydaje się, że wystarczy wprowadzić do akcji pewną ilość rymujących się słów (no i rym!) aby powstał wiersz. Ponadto, często w grę wchodzi czynnik nerwowości, która powoduje swoistą wylewność, uwidaczniającą się w gwałtownym uzewnętrznianiu (bardzo przeważnie bogatych) przeżyć. Można założyć że, bogaty temat zamknięty w niedojrzałą formę daje w efekcie mizerny utwór.

Nie znaczy to, że całość tak zwanej poezji żołnierskiej jest kiepska. Są zdolności mniejsze i większe, są i talenty niewątpliwe. Nawet mniej uzdolnieni autorzy piszą szczerze i często bardzo wzruszająco, choć kiedy forma utworów w tej chwili jest jeszcze bardzo surowa.

Są to uwagi bardzo uproszczone i lapidarne. Przychodzą one na myśl zawsze, ilekroć czyta się coś, co wyrasta na naszych oczach i jest nam bliskie jego kowo i uczuciowo. Stabilizacja warunków życiowych, stół, jasna lampa niewątpliwie sprzyjają pisanu. Ale ważniejsze od lamp są czasy, które przeżywamy, czasy coraz bardziej zwycięskie. „Poprzez Morze Kaspijskie i przez piaski libijskie wędrujemy prosić do Polski” jak napisał w wierszu drukowanym w „Orle” Władysław Broniewski. A w miarę wędrowki rosną nadzieje,

powraca entuzjazm, rośnie śmiałość w wyrażaniu myśli o powrocie i odwiecie.

W ciągu naszego pobytu na Wschodzie ukazało się po polsku kilkanaście książek, broszur i broszurek. Ponadto wydano kilka tomików poezji. Ostatnim wydawnictwem literackim, które wpadło mi w ręce jest tom wierszy Bolesława Redzisa p. t. „Droga do Polski” wydany nakładem Korpusu Oficerskiego 18 p. p. (Bagdad 1943)*. Książkę opatruje przedmowa ppłk Domonia.

Na 125 stronach autor zawarł wiele tęsknot i przeżyć. Duża, może zbyt duża liczba utworów opatrują dedykację. W tekście znajdujemy szereg portretów z portretem gen. Andersa na czele. Szata graficzna książki (wyk. G. Lange) – przyjemna. Okładkę zdobi herb 6 D. P.

Autor jest poetą młodym (co widać z zamieszczonego zdjęcia). Napisał on wiele wierszy pełnych jak najlepszych intencji. Stosunek Redzisa do poezji wyraża się najdobitniej w wierszu „Wyznanie” (str. 95), z którego przytaczamy pierwszą zwrotkę:

Nie chcę na szczyty wychodzić Parnasu
Nie chcę o wawrzyn się ubiegać sławy
Oddawać się na łup krytyki i hałaś
Ciskać piórny i łzawic wierszem łzawym
Wiem, że me pióro słabe, nieudolne,
Choć jak ja czuję i jak ja jest wolne.

Nie przesadzajmy, nie jest to pióro takie znowu nieudolne, odwrotnie jest płomienne i szczerze, choć wiadać, że autor na każdym kroku walczy jeszcze z formą, nie zawsze umie dopilnować rytmu i czasem gubi myśl przewodnią utworu. Najlepsze w książce – chyba bajki, stanowiące osobną część. Inne części zamykają utwory powstałe w Rosji albo Rosję wspominające i wreszcie utwory na tematy ściśle osobiste. W tomie Redzisa kryje się urok szczerości i modniejszej wybuchowości. Być może następny tom poety będzie dowodem, że uporał się on już z formą.

Jerzy Bazarewski

* Dowiadujemy się z miarodajnego źródła, że napis jakoby współwydawcą zbioru był Wydział Informacji i Oświaty APW zamieszczony został przez nieporozumienie.

POSZUKIWANIA

332. Hłodzik-Majewska Wanda (P.F.P. 207) — brata Hłodzik Kazimierza, ucznia gimn. ze Lwowa, aresztowanego 8 lutego 1940 r.

333. Nowak Władysław z Nowo-Swieciana (P.F.P. 195) — żony Marii, córki; Danuty i Ireny, szwagra Truszcza Władysława oraz Piaskowskiego Kazimierza, b. funkcjonariusza Policji Państw.

334. Mól Stanisław (P.F.P. 195) z Daszawy koło Stryja — żony Ludwiki oraz Agnieszki Tahisz z domu Lachowicz.

335. Por. Krzchlik Ryszard (P.F.P. 61) — Ostriańskiej Olgi (żony majora) z córkami: Zofią i Anną, inż. Engelberga Ignacego, którzy we wrześniu 1941 wyjechali z Maryjskiej ASRR do Aktubińska oraz Brylskiej Heleny z córkami z Radziechowa i dr. Engelberga Henryka z Łodzi.

336. Wołoszyn Witold z Kobrynia (P.F.P. 195) — krewnych i znajomych.

337. Emilia Gutowska (Teheran, Główny Szpital Cywilny) — męża Leona Gutowskiego, b. starosty ze Stolina i Julii König Syrakowskiej, lek. dent.

338. Socha Aleksy (P.F.P. 610) — żony Małgorzaty, córki Alicji lat 10, syna Ewarysta lat 9, którzy do 1941 r. mieszkali w Głębokim oraz szwagra Gaudzieckiego Władysława i żony jego Walentyny z dziećmi.

Janickiego Stefana z Wilna poszukuje inż. Henryk Bogusławski (P.F.P. 58).

Rtm. Marka Myślakowskiego, męża Izy oraz Zbigniewa Bogocza z Torunia, syna Domana, poszukuje rodzina i por. Mirosław Dziekoński (P.F.P. 555).

RADIO BAGDAD PO POLSKU

- 27.VI. niedziela, godz. 19 — 19,20
1) Dziennik radiowy. 2) Audycja z okazji imienin Prezydenta R. P., Wodza Naczelnego i Dowódcy APW.
28.VI. poniedziałek, godz. 19 — 19,20
1) Dziennik radiowy. 2) „Polacy w Indiach” — wywiad z przedstawicielem kolonii polskiej w Bombaju. 3) Jan Olechowski. Utwory własne. 4) Muzyka i piosenka.
29.VI. wtorek, godz. 19 — 19,20
1) Dziennik radiowy. 2) „Tygodniowy przegląd wydarzeń” — M. Roman. 3) Muzyka i piosenka.
30.VI. środa, godz. 19 — 19,20
1) Dziennik radiowy. 2) „O Ignacym Paderewskim” — w drugą rocznicę zgonu. 3) I. Paderewski. Pieśni podróżnika (płyta). 4) Chopin. Polonez As-dur w wyk. I. Paderewskiego (płyta).
1.VII. czwartek, godz. 19 — 19,20
1) Dziennik radiowy. 2) „W monachijskiej piwni” (mowa Hitlera) — monolog Perfidiasza. 3) Muzyka i piosenka.
2.VII. piątek, godz. 19 — 19,20
1) Dziennik radiowy. 2) Doc. dr Wł. Dybowski. Walka z czerwonką. 3) Fragment z „Pana Tadeusza” — „Grzybów było wóród...” 4) Muzyka i piosenka.
3.VII. sobota, godz. 19 — 19,20
1) Dziennik radiowy. 2) Z cyklu „O czym się mówi i pisze na świecie” — Zb. Racieński. 3) Pogadanka religijna. 4) Chopin. Nokturn b.moll.

CO JEST WART NIEMIECKI ŻOŁNIERZ

Korespondent wojenny p. Zygmunt Lityński był świadkiem ostatniej fazy walki o Tunis. Podajemy garść jego obserwacji i wniosków zaznaczając, że te ostatnie przedstawiają osobisty punkt widzenia autora.

Moralnie nie przygotowany do ciężkiej i długiej wojny, którą zmuszony jest prowadzić, żołnierz niemiecki załamuje się z reguły tam, gdzie nie jest zdecydowanie silniejszy. Oto jest konkluzja osobistych obserwacji, jakie w ciągu tej wojny miałem sposobność poczynić w ciągu kampanii w Norwegii, Francji, Battle of Britain, dwóch kampanii w Zachodniej Pustyni i ostatnio w Tunisie.

W wyniku tych samych obserwacji nie wierzę, by Niemcy byli zdolne do prawdziwie zdeterminowanej obrony na wielką skalę. Kiedy przyjdzie moment, rozlecia się jak bezczka bez obręczy.

W Narwiku alianci dysponowali tylko nieznaczna przewagą nad ufortyfikowanymi w górach siłami gen. Dietla. Pozytywnie niemieckie były tak potężne, że głównodowodzący wojskami alianckimi w arcydzielnicy Norwegii gen. Mackenzie wahał się czy w ogóle ma bitwę wydawać i uległ dopiero uśmiałym namowom dowódcy I. lekkiej dywizji (francusko-polskiej) gen. Bethouard'a. Rozpoczęta 28 maja 1940 r. o godz. 24 bitwa skończyła się 36 godzin później kompletnym rozbitiem Niemców i rozpadnięciem ich na cztery wiatry.

Po raz pierwszy w tej wojnie, Niemcy, choć lepiej uzbrojeni zwłaszcza w broń maszynową zostali osaczeni przez przeciwnika liczebniejszego. Stosunek wynosił 5:8. Z początku Niemcy bronili się do brzo. Wyczułiśmy to na własnej skórze, kiedy na odcinku polskim przeszli do kontrataku. Trwało to jednak dopóki nie zdali sobie sprawy z naszej przewagi. Wówczas wszystko ztracono. Od jeńców, z którymi rozmawiałem w Narwiku wiem, że wielu oficerów niemieckich uciekło nagle w stronę pobliskiej granicy szwedzkiej, zostawiając w pełni walki żołnierzy na pastwę losu.

Bitwa o Narwik wykazała, że niemiecka niezwykłość jest bajką. Dnia 29 maja rano znajdowało się na szosie do Ankenes, nad fiordem, kiedy ze stoku zeszła postać tak osobliwa i humorystyczna, że mimo powagi sytuacji — nic nie było wówczas jeszcze rozstrzygnięte — musiałem parsknąć śmiechem. Przewodzony przez polskiego żołnierza, z gór schodził strach na wroble z podniesionymi rękami, bez hełmu, z podbitym okiem i całą twarzą czarna od brudu. „Ładnie cię twój Führer oporządził”, powiedział mi przedstawicielowi Herrrenvolku. W rzeczywistości nie mu nie było wybuch pocisku moździerza obrzucił go kamieniami i ziemią. Spojrzał na mnie spod łba, mruknął i spróbował się uśmiechnąć, co jakoś nie wyszło. Nazajutrz widziałem go już umytego, jak z innymi jeńcami za jadał z apetytem francuskie konserwy.

Nie, Niemiec, kiedy mu ktoś oko podbije, przestaje być straszny.

Nie znaczy to bynajmniej, by niemieckiego żołnierza można było bagatelizować. Przeciwnie, dopóki czuje on własną przewagę, dopóki może się uważać za kółko w maszynie, o której myśli, że jest najlepszą maszyną wojenną na świecie — wal-

czy inteligentnie, ofiarnie, brutalnie, bez fantazji, ale z dużą maestrią.

Miesiąc po Narwiku widziałem Niemców w szczytowej formie boju we Francji, rozsypanych się w pył pod uderzeniami żelaznej hordy Hitlera.

Po naszej bezbronnej brygadzie — cały ciężki sprzęt kazano nam zniszczyć przed opuszczeniem Norwegii — niemieckie czołgi przejechały się pod Dół w Bretanii dosłownie bez zatrzymania się. Później widziałem miasteczka natłoczone wojskiem francuskim, zajmowane przez dwóch niemieckich motocyklistów. Notyfikowali burmistrzowi, że miejscowość jest okupowana, instalowali się w biurze poczty i telegrafu, po godzinie mury pokryte były rozmailtami „Bekanntmachung” i „Avis a la population”, niemieckie drogowoskazy pojawiały się na skrzyżowaniach ulic.

Pomimo ciężkich przecięć walk stoczonych w Belgii, wkraczające do Bretanii oddziały nie wykazywały śladu zmęczenia. W niewygodnych 12-osobowych wozach transportowych żołnierze siedzieli sztywno wyprostowani, nie oglądając się w prawo i w lewo, automaty twarzami zwrócone w kierunku jazdy. Można było wtedy istotnie myśleć, że nie już nie zatrzyma ich zwycięskiego pochodu. Wiadomo zresztą, że Hitler był wówczas o krok od wygrania wojny.

Brak fantazji i zmechanizowanie, które zdawają skuteczność Niemców, dopóki im się prowadzi, zdawają jednocześnie ich nieporadność, kiedy dzieją się rzeczy, których nie przewidzieli. Do takich w pierwszym rzędzie należy zaliczyć odporność Anglików na „Blitz” lotniczy, który Luftwaffe rozpoczęła w jesieni 1940 r., a niemiecka prasa triumfalnie zatytułowała „Ostatnim aktem w tej wojnie”.

Cały okres wielkich bombardowań przeżyłem w Londynie, w dzielnicy Piccolo, naprzeciw Patterca Power Station, jednej z największych elektrowni w Anglii. Zburzenie tej elektrowni byłoby katastrofą dla miasta. Została ona tylko raz ugodzona: bomba wyszczerbiła kawałek muru nie czyniąc żadnej szkody instalacjom. Żaden z londyńskich mostów nie został uszkodzony. Z wielkich gmachów publicznych trafione bombami zostały, o ile pamiętam, tylko Admiralicja i Parlament. Mimo, że obrona przeciwlotnicza była słaba, Niemcy z reguły latali bardzo wysoko, zrzucali bomby na chybił trafił i uciekali.

Przez cały czas „Blitzu” nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że lotnik niemiecki nie dorównuje niemieckiemu żołnierzowi. Brak mu było ofiarności. Trochę więcej ryzyka, a zarobek rozwałkał kamienie i domki robotnicze, mogli oni sparaliżować życie stolicy. W rezultacie, bombardowanie Londynu okazało się największym nonsensem, jaki Hitler w tej wojnie wymyślił.

Dlaczego Rommel nie wziął Aleksandrii i Kairu, kiedy w lecie 1942 r. stanął pod Mamein? Będąc doskonałym znawcą niemieckiego żołnierza widział, że żołnierz ten załamie się w ostatecznym uderzeniu. Załamał się, gdyż nie będzie dysponował zdecydowaną przewagą, bez której Niemcy nie umiają niczego zdziałać. Rommel stracił Afrykę, ponieważ

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pchor. Bogdan Z. Dziękujemy za dwa nowe felietony. Przeczytaliśmy z przyjemnością, ale drukować nie będziemy mogli z łatwo zrozumiałych przyczyn. Zachowujemy natomiast w tece Pańskie poprzednie utwory.

Witold L. cki. Dziękujemy za otrzymany wiersz, który nam jednak nie odpowiada.

Pchor. Al. Gr. Dziękujemy serdecznie za przesłane uzupełnienie oraz za nowy, ciekawy artykuł o Gertrudzie Bell, z którego oczywiście skorzystamy. „Poławiaczy” już drukujemy. O potrzebne Panu informacje zwróciliśmy się z prośbą do p. W. R., który jednak, jak się okazuje, jest już z Panem w tej sprawie w kontakcie bezpośrednim.

Aleks. Z-ski. W uzupełnieniu poprzedniej odpowiedzi dodajemy, że artykuły do polskiej „Parady” mogą być wysłane bądź bezpośrednio, bądź za naszym pośrednictwem. Odnosi się to również do materiałów przesyłanych do Polskiego Centrum Informacji dla dwutygodn. „W Rodzie”.

Kan. Stan. K. Dziękujemy za nowy list i wiersz. Jeśli ma Pan rzeczywście skłonność przeczucia się od rzeczy zaczętych do innych — z tym warto walczyć, bo są i będą potrzebni ludzie, którzy wiedzą, czego chcą. Nie widzimy natomiast powodu zwalniania ochoty do napisania wiersza. Gdyby jednak chodziło o wiersz do druku, to nie wystarczył poprzedzanie na tym co się „samo ułożyło”, skoro jeszcze same się układają takie dwuwiersze jak ów fragment: „Przez ogrom zła spłynęły i w duszy hart zaczęły...”

Przećież to nie ma ani formy, ani treści.

Jan K. Dziękujemy za „Srebrny Ekran” i „Po zwycięstwie”. Reportaż zamierzamy drukować, los noweli niepewny.

Żołnierzowi niemieckiemu brakło fantazji.

Mówi się wiele i różnie o tym, jak Niemcy walczyli w Tunisie. Kiedy 12 maja artyleria i lotnictwo brytyjskie rozpoczęły bombardować sławny „Enfidaville-box” można było istotnie wyczuwać coś w rodzaju podziwu dla Afrika-Korps. Chwilami góry były dosłownie pokryte eksplozjami, zaledwie jednak dym opadał, odzywała się artyleria niemiecka. Sam myślałem przez chwilę, że ludzie ci bronią do śmierci ostatniego skrawka ziemi afrykańskiej.

Otóż podziw dla Afrika-Korps jest najzupełniej nieuzasadniony. Byłem w „Enfidaville-box” bezpośrednio po kapitulacji 90. dywizji. Włóczyłem się po stanowiskach przez szereg godzin. Widziałem stopy broni, amunicji i żywności. Widziałem tysiące Niemców maszerujących do obozów jeńców. Nie widziałem jednak ani jednego — powtarzam: ani jednego — zabitego Niemca, ani jednego świętego grobu Schreyny jakie wykopalni, niektóre biegają kilka metrów w głąb, prawdziwe tunele wyłożone w stokach gór — były tego rodzaju, że można w nich było kpić sobie z naszych bombardowań. Można było się bronić przez tygodnie i uratować żołnierski honor. Żołnierze Afrika-Korps woleli wywieść białe bezczagę. Rozlecieli się jak bezczka bez obręczy, tak jak przedtę czy później niechlebnie rozlecia się całe ich Niemcy.

Zygmunt Lityński